CZWARTEK

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

NR 11 26 STYCZNIA 1978 R CENA 1,50 ZŁ

BOLEK I LOLEK bohaterami powieści

BIELSKO-BIAŁA (PAP). Pod koniec tego roku ukaże się na półkach księgarskich powieść o przygodach sympatycznych urwisów Bolka i Lolka. „Testament Filleasa Foga" – bo taki jest tytuł książki – jest literacką wersją filmu pełnometrażowego wyświetlanego obecnie w polskich kinach. Autorem jej jest współscenarzysta seriali filmowych – Leszek Mech. W przygotowaniu jest także druga powieść dla dzieci „Kosmiczna podróż Bolka i Lolka".

(mh)

NEKLA (HSI). Szczep harcerski istniejący przy Zbiorczej Szkole Gminnej w Nekli przystąpił do realizacji zadań związanych z wyborem bohatera szczepu. Ma nim zostać Gerard Linke. Był on nauczycielem i założycielem pierwszej w dziejach Nekli drużyny harcerskiej w roku 1933. Linke został rozstrzelany wraz z 27 skazańcami w roku 1939.

ZAŁOŻYCIEL PIERWSZEJ DRUŻYNY

Niedawno harcerze zaprosili na spotkanie przy ognisku Zofię Matuszak i Marię Hyży. Należały one właśnie do pierwszej drużyny, którą prowadził Gerard Linke. Długo opowiadały o wspaniałych biwakach i wycieczkach organizowanych przez niego. Z ich opowieści wyłoniła się sylwetka człowieka, który uczył młodzież miłości do kraju i szacunku wobec innych ludzi. Harcerze z Nekli postanowili nawiązać kontakt z członkami rodziny Gerarda Linke oraz zebrać pozostałe po nim pamiątki.

Magda Leszczyńska

Przewodnik kontra meteorolog

ZSRR (PAP). Władimir Aleksandrowicz przemierzył już tysiące kilometrów, dotarł m. in. do najdalszych zakątków południowej Estonii. Długoletnie doświadczenia przyrodnika, obserwacja zachowania się roślin i zwierząt przydała się także w meteorologii. Jego prognozy, przepowiednie pogody niejednokrotnie przewyższały precyzją oficjalne komunikaty służby meteorologicznej. Ostatnio wiele czasu zajęło mu uczestniczenie w realizacji filmu estońskiego „Głosy przyrody"

(mh)

DOBRE NA MRÓZ I NA UPAŁ

ZSRR (PAP). W Moskiewskim Centralnym Instytucie Przemysłu Odzieżowego opracowano specjalne kombinezony dostosowane do każdych warunków atmosferycznych. Np. w kurtce uszytej ze specjalnej tkaniny zainstalować można mini-aparaturę chłodniczą, która tłoczy zimne powietrze lub wodę do cienkich rurek wszytych w podpinkę. Na tej samej zasadzie skonstruowano ubranie przeznaczone do pracy w klimacie mroźnym. W podpinkę kurtki wplecione są spirale ogrzewcze. Pierwsza partia tej znakomitej odzieży wysłana została budowniczym magistrali bajkalsko-amurskiej. (**mh**)

SZTUCZNA KOŚĆ JAK PRAWDZIWA

(PAP). W Stanach Zjednoczonych wyprodukowano tworzywo na pozór podobne do szkła, ale o właściwościach... ludzkiej kości. Podobnie jak naturalny pierwowzór zawiera ono wapń i fosfor. Do tej pory naukowcy przeprowadzali eksperymenty na zwierzętach uzupełniając brakujące części kości jej namiastką. Rezultaty badań pozwalają żywić nadzieję, że w przyszłości będzie można uniknąć wielu amputacji zastępując kości zmiażdżone np. w wypadkach, ich sztucznymi odpowiednikami. Nowe tworzywo łatwo bowiem łączy się z tkanką kostną. **(mat)**

Z „SYNKOPĄ" NAWET NA RAJD

POZNAŃ (HSI). Działający przy młodzieżowym domu kultury w Poznaniu-Wildze zespół estradowy „Synkopa" ma już pięć lat. W skład zespołu wchodzą grupy: wokalna, instrumentalna, taneczna, recytatorska i turystyczna. Członkowie tej ostatniej grupy urozmaicają swoim śpiewaniem wycieczki i rajdy pracowników Zakładów Metalowych H. Cegielskiego. Podczas pięcioletniej działalności „Synkopa" zaprezentowała się na 100 koncertach. Oglądało ją i słuchało ponad 38 tysięcy młodszych i starszych widzów, głównie z Poznania i woj. poznańskiego.

(ap)

Nikt tych zapierających dech popisów, poza samymi wykonawcami, nie traktuje poważnie. A jednak narciarscy akrobaci zabiegają nawet o nobilitację olimpijską i gdzie się tylko da demonstrują swoje salta, „beczki", „śruby", oraz inne arcytrudne skoki. Trudno przypuszczać, aby nowa „dyscyplina", zwana też „dyscypliną kandydatów na wózek inwalidzki" doczekała się sportowego równouprawnienia...

W centrum uwagi narciarskich kibiców są mające się wkrótce odbyć mistrzostwa świata. O faworytach tych imprez napiszemy już w następnym numerze „ŚM".

Fot. **archiwum**

Dziś przedstawiamy:

ARCHIWUM GŁÓWNE AKT DAWNYCH

Instytucja ta, wielce zasłużona dla nauki i kultury polskiej powstała z Archiwum Ogólnego Krajowego na początku XIX wieku. Przechowywano w nim wiele cennych dokumentów, a więc akta władz Rzeczypospolitej szlacheckiej, tzw. Metryki Koronne, mówiące o kontaktach Polski z sąsiadami i innymi państwami, akta dawnej Warszawy, sądów ziemskich, miast Mazowsza, Podlasia i wschodniej Wielkopolski. Ponadto zgromadzono sporą ilość dokumentów administracji zaborczej, władz naczelnych Księstwa Warszawskiego i Królestwa Polskiego, akt dawnych arystokratycznych rodów – Potockich, Radziwiłłów, Zamoyskich, których przedstawiciele piastowali z reguły wysokie godności państwowe. Niestety, wiele z tych materiałów uległo poważnym zniszczeniom w czasie burzliwych wydarzeń politycznych – wojen szwedzkich i rozbiorów. Brutalnie i bezwzględnie obeszła się też z nimi II wojna światowa, kiedy to część zbiorów wywieziono do III Rzeszy, natomiast reszta, która pozostała w Polsce w 1944 r, padła ofiarą płomieni. I tak oto przepadło blisko 90 proc. wszystkich zbiorów.

Co zatem ocalało? Garstka zaledwie dawnych dokumentów, wśród których najstarszym jest bulla papieska z 1155 r., następnie ważny dla naszych narodowych dziejów polsko-krzyżacki traktat pokojowy z 1466 r., dalej – bogato ornamentowany Statut Jana Łaskiego z 1506 r., dyplomy elekcyjne królów polskich i oryginał Konstytucji 3 Maja. Z dokumentów nowszych zachowały się materiały dotyczące historii powstań narodowych i polskiego ruchu robotniczego.

Archiwum Główne Akt Dawnych, liczące dziś 13 tys. dokumentów pergaminowych i papierowych oraz 350 tys. jednostek archiwalnych wydaje własne materiały informacyjne, które ułatwiają dotarcie do odpowiednich akt, a więc: inwentarze, przewodniki, indeksy. Ma też swoją, liczącą 20 tys. tomów bibliotekę, jak również prowadzi prace naukowo-badawcze z zakresu archiwistyki. Ze zbiorów tej placówki, służącej badaniom historii narodu i państwa polskiego korzysta rocznie około 700 użytkowników z kraju i zagranicy, a przechowywane tu materiały wielokrotnie oddały nieocenione wprost usługi w trakcie odbudowy zabytków, jak chociażby ostatnio przy rekonstrukcji Zamku Królewskiego w Warszawie.

W tym roku Archiwum Główne Akt Dawnych obchodzi 170 rocznicę pracy w służbie historii. (tem)

M-18 „Dromader"

M-15 „Belfegor"

PZL-106 „Kruk"

Sensacją ostatniego Międzynarodowego Salonu Lotniczego w Paryżu stał się samolot, jakiego dotąd tu nie widziano. Dowcipni Francuzi ochrzcili go natychmiast mianem „Belfegor", a jego start i pokazowy lot wzbudził szczególne zainteresowanie.

W pierwszym odcinku z cyklu „Rolnicy przestworzy" („ŚM" nr 10) przedstawiliśmy początki i rozwój nowej gałęzi rolnictwa, które w coraz większym zakresie wykorzystuje do swych celów samoloty. Czytelnicy poznali również „GAWRONA", będącego pierwszym polskim samolotem skonstruowanym dla potrzeb „rolników przestworzy". Dziś dokończenie artykułu poświęconego tym sprawom.

Rolnicy przestworzy (2)

„BELFEGOR" I JEGO BRACIA

A więc w latach 1958–1969 produkowaliśmy „GAWRONY", głównie dla kraju, ale również i dla Bułgarii, Węgier, Austrii, Finlandii, Hiszpanii, Turcji i Indii.

Drugi polski wytwórca samolotów – WSK-Mielec rozpoczął w 1960 roku, na potrzeby Związku Radzieckiego, wielkoseryjną produkcję wielozadaniowego 12-osobowego samolotu An-2, konstrukcji znanego radzieckiego konstruktora lotniczego O.K. Antonowa. Zamówienie przewidywało również jego wersję rolniczą. Do obecnej chwili wyprodukowano kilkanaście tysięcy „Antków", w tym 55 proc. w wersji rolniczej. Jest to największa w świecie liczba samolotów rolniczych tego samego typu...

Samolot rolniczy An-2R
Rozpiętość – 18,2 m, ciężar w locie – 5500 kg.
Ładunek chemikaliów – 1370 kg, prędkość lotu robocza – 155 km/h.
Napęd: tłokowy silnik gwiazdowy ASz-62IR o mocy 1000 KM

Koszty użycia samolotów dla usług rolniczych są niemałe. Np. wynajęcie „GAWRONA" na rok kosztuje 1,2 miliona złotych, a samolotu An-2R – 2,4 miliona złotych! Ale i korzyści są ogromne, a chętnych do korzystania z ich usług z roku na rok przybywa. Jakie mogą być te korzyści, niech świadczy taki przykład: W 1974 roku przeprowadzono siew zboża z samolotu na obszarze 500 ha w ciągu dwóch dni. Przy użyciu tradycyjnego traktora i siewnika musiano by na to zużyć aż trzy tygodnie!

Coraz większe zapotrzebowanie na lotnicze usługi rolnicze oraz coraz większa ich różnorodność zmusiła naszych konstruktorów do nieustannych poszukiwań nowych rozwiązań, wymuszanych niejako przez nowe warunki, w jakich te samoloty pracują.

OTO SKRÓCONA LISTA WYMAGAŃ STAWIANYCH WSPÓŁCZESNYM SAMOLOTOM ROLNICZYM:

Z racji startu i lądowania w przygodnym terenie samolot taki winien mieć bardzo krótki rozbieg i dużą zdolność pokonywania przeszkód terenowych. Musi też mieć stosunkowo małą prędkość lotu z pełnym obciążeniem.

Wymagana jest jak najlepsza sterowność – chodzi szczególnie o możliwość wykonywania ciasnych zakrętów. Musi z tym iść w parzę zdolność maszyny do utrzymywania spokojnego i równego lotu, nawet w czasie nagłych podmuchów wiatru. Pilot powinien mieć doskonałą widoczność z kabiny, leci przecież bardzo nisko i każda większa nierówność ziemi czy nawet niewielki krzak mogą stać się przyczyną katastrofy. Z bezpieczeństwem pilota wiążą się dalsze wymagania. Np. takie usytuowanie zbiorników na chemikalia, aby w razie wypadku nie zmiażdżyły one kabiny z człowiekiem. Opracowuje się awaryjne systemy opróżniania tych zbiorników, konstruuje kadłub tak, by w przypadku zderzenia z przeszkodą przejął znaczną część siły tego zderzenia. Instaluje się również na osłonie kabiny i podwoziu... rozcinaki przewodów telefonicznych i elektrycznych, szczególnie niebezpiecznych. Ponadto konstrukcja płatowca winna być taka, by możliwe było dokonywanie mniejszych napraw w warunkach polowych za pomocą prostych materiałów i narzędzi.

W rezultacie uwzględnienia wielu jeszcze takich wymagań opracowano pierwszy polski, ściśle rolniczy samolot PZL-106 „KRUK". Oblatany w 1973 roku, potwierdził swoje zalety i jest obecnie już seryjnie produkowany nie tylko na potrzeby krajowe, ale również i na eksport do krajów demokracji ludowej.

Samolot rolniczy PZL-106 „KRUK"
Rozpiętość – 14,8 m, ciężar w locie – 2800 kg, ładunek chemikaliów – 800 kg, prędkość lotu robocza 120–160 km/h.
Napęd: tłokowy silnik gwiazdowy PZL-3S o mocy 600 KM.

Na początku lat siedemdziesiątych w ZSRR podjęto decyzję zastąpienia samolotu An-2R samolotem bardziej wydajnym, ekonomiczniejszym, dostosowanym do potrzeb radzieckiej służby rolnej. Określono wtedy, że powinien on mieć udźwig około 2000 kg chemikaliów i napęd odrzutowy.

Ponieważ polski przemysł lotniczy miał już duże doświadczenie w produkcji samolotów rolniczych, a ponadto uzyskał w ramach RWPG specjalizację w tej dziedzinie, przeto nam właśnie powierzono opracowanie i produkcję tego nowego samolotu. Jednak problem nie był prosty. Po raz pierwszy w świecie do napędu samolotu rolniczego zastosowano turbinowy silnik odrzutowy. Prace nad nowym samolotem prowadzono wspólnie z grupą radzieckich konstruktorów.

Do konstrukcji samolotu przewidziano wykorzystanie niektórych elementów samolotu seryjnie produkowanego w ZSRR: dolne i górne skrzydła oraz podwozie od An-14 „PSZCZÓŁKA". Takie wykorzystanie części pozwalało na łatwą ich wymianę.

Najpierw w wytwórni samolotów w Mielcu wykonana została drewniana makieta, a potem, aby uniknąć niespodzianek, zbudowano drugie latające laboratorium LLM-15. Litera M to skrót nazwy wytwórni, a cyfra – kolejne jej opracowanie. W 1975 roku oblatano pierwszy samolot z serii informacyjnej i dostarczono go do ZSRR dla przeprowadzenia tam prób państwowych przez Instytut Naukowy Ministerstwa Lotnictwa Cywilnego. Po zatwierdzeniu samolotu przez ten instytut rozpoczęto w Mielcu jego produkcję seryjną.

Odrzutowy samolot rolniczy M-15
Rozpiętość – 22,3 m, ciężar w locie – 5650 kg, ładunek chemikaliów – 2200 kg, prędkość lotu robocza – 140–165 km/h
Napęd: turbinowy silnik odrzutowy – AI-14 o ciągu 1500 kg.

Amerykańscy producenci samolotów rolniczych zainteresowali się ostatnio polskimi silnikami tłokowymi dużej mocy. Okazało się, że w świecie zaprzestano ich produkcji z powodu nieopłacalności (za małe ich ilości zamawiali producenci) samolotów. Polska jest jedynym krajem, który wytwarza takie silniki i to w dużej serii. W wyniku przeprowadzonych rozmów przemysł nasz podjął się przekonstruowania samolotu rolniczego amerykańskiej firmy Rockwell International. Nowy samolot dostał oznaczenie M-18 i nazwę „DROMADER". W czerwcu ubiegłego roku wraz z M-15 zademonstrowano go na Międzynarodowym Salonie Lotniczym w Paryżu. Wzbudził on duże zainteresowanie i jest naszą szansą eksportową do krajów zachodnich.

Samolot rolniczy M-18 „DROMADER"
Rozpiętość – 17,7 m, ciężar w locie – 4200 kg, ładunek chemikaliów – 1500 kg, prędkość robocza 170–185 km/h
Napęd: tłokowy silnik gwiazdowy ASz-62IR o mocy 1000 KM.

Tak więc Polska jest obecnie producentem trzech typów samolotów rolniczych nie tylko o różnym udźwigu, ale co najważniejsze – spełniających życzenia odmiennych organizacji rolnictwa. Są to prawdziwi bracia: PZL-106 „KRUK", pierwszy w świecie odrzutowy M-15 przez Francuzów nazwany „BELFEGOR" oraz M-18 „DROMADER".

LECH KOMUDA
Fot. CAF i PZL

Odwracanie kota ogonem

Afryka... ogromny kontynent o powierzchni 30 mln kilometrów kwadratowych, nikt jeszcze nie zrobił i długo nie zrobi pełnego spisu bogactw tej ziemi. Jedno jest pewne, bez względu na znaczenie, ilość znanych już zasobów surowcowych i paliw, stanowią one jedynie znikomą część skarbów kryjących się jeszcze w afrykańskiej ziemi. Jest to ciągle przymknięta tylko szkatuła i nie brak państw spoza tego kontynentu, które stęsknione surowców z chęcią by do niej zajrzały. I usiłują to robić...

W Afryce żyje ok. 400 mln ludzi w 52 państwach. Większość tych państw można określić jako biedne. Jedynie na kontynencie afrykańskim istnieje tak dużo krajów o niskim dochodzie narodowym, posiadającym jednocześnie bogactwa naturalne. Ci biedni bogacze mają i inne kłopoty. Są one najczęściej zamieszkane przez różne grupy etniczne, religijne, plemienne, językowe i regionalne, często sobie wrogie. W spadku po kolonializmie zostały też granice państw, które w całej prawie Afryce są kwestionowane między sąsiadami. Wszystkie te przyczyny nakładając się na siebie, powodują wybuchy konfliktów, waśni i stały stan naprężenia. Te słabości afrykańskie są wykorzystywane przez państwa przemysłowo rozwinięte a cierpiące na brak surowców – przez państwa kapitalistyczne. Często pragnąc upiec własną pieczeń w ogniu walk między Afrykanami, przyczyniają się one do powstawania konfliktów, lub – gdy konflikt już istnieje – opowiadają się po jednej ze stron.

Oto przykład: wojna w „rogu Afryki" między ofiarą agresji Etiopią a napastnikiem Somalią. St. Zjednoczone przez długie lata utrzymywały swą bazę w Etiopii, a obalony w wyniku rewolucji cesarz prowadził zawsze politykę przyjaźni z Ameryką czyli... zależności. Owocowało to w postaci przede wszystkim dostaw broni i pożyczek na jej zakup. W tym samym czasie Etiopia miała najniższy w Afryce dochód na jednego mieszkańca i ludzie umierali tam z głodu. Minęło kilka lat od objęcia władzy przez siły rewolucyjne, a sąsiednia Somalia zachęcana przez „życzliwych doradców", czyli pewne państwa arabskie i zachodnie, uderzyła na Etiopię pragnąc zagarnąć część jej terytorium, pod pozorem zamieszkiwania go przez Somalisów. Na tej zasadzie cała Afryka mogłaby stanąć w jednej chwili w ogniu walki, gdyż wszędzie, ale to dosłownie wszędzie, żyją grupy etniczne czy plemiona w dwóch a często i więcej państwach.

I oto mija kilka miesięcy tej agresji i zaczyna się odwracanie kota ogonem. Prezydent USA Carter występuje jako obrońca „poszkodowanej" Somalii, jakby to wojska etiopskie podchodziły do jej stolicy Mogadiszu, a nie wojska somalijskie znajdowały się na terytorium Etiopii. Tunezyjski tygodnik „Jeune Afrique" pisze o tym wprost: „Przede wszystkim jednak Stany Zjednoczone porzucają stopniowo swą początkowo wyczekującą postawę, angażując się krok za krokiem po stronie Somalii". Na zasadzie „łapać złodzieja" działa sam agresor, ten który rozpętał tę wojnę. Oto ambasada Somalii w Londynie, a za nią inni przedstawiciele tego kraju na świecie, rozpowszechniają deklarację stwierdzającą, że „Etiopia i kraje Układu Warszawskiego przygotowują interwencję w Somalii". Różne oficjalne osobistości somalijskie „zasilają" też prasę zachodnią takimi informacjami jak np. ta, że w działaniach po stronie etiopskiej biorą udział jednostki radzieckie oraz tysiące obywateli państw socjalistycznych. Wszystko to ma na celu wprowadzenie w błąd opinii światowej przede wszystkim po to, aby już oficjalnie mogli wspomagać Somalię jej dotychczas „dyskretni" przyjaciele. Prezydent Somalii Barre zwrócił się w tych dniach do państw NATO z żądaniem dostaw broni „w celu zapewnienia obrony terytorium kraju". Natomiast strona etiopska stwierdza: „Pokój może być przywrócony natychmiast, jeśli tylko wojska somalijskie wycofają się z terenów Etiopii". I taka jest prawda o sytuacji w „rogu Afryki".

JERZY KOWALKOWSKI

Dosyć już dawno, bo w nr 152, który ukazał się w dniu 22 grudnia ub.r., w artykule pt. „Winna?!" opisałam historię, która spotkała pewną uczennicę ósmej klasy, Izę. W rzeczywistości Iza ma na imię inaczej i nie chodziło o klasówkę z fizyki, ale sedno sprawy jest takie samo. To gwoli wyjaśnienia tym z Was, którzy powątpiewali czy rzecz mogła zdarzyć się naprawdę. Bo byli tacy, którzy napisali, że nie wierzą, iż istnieje „taka okropna klasa". Z kolei inni, a tych była większość, powoływali się w listach na swoje własne, podobne doświadczenia. Cóż, z tego wniosek, że różne bywają klasy szkolne i różne się w nich dzieją rzeczy. Ciekawe, że zdecydowana większość korespondentów, którzy zabrali głos w „sprawie Izy", jest mieszkańcami dużych miast. Nie było ani jednej osoby z małej miejscowości, która napisałaby, że podobne wydarzenie miało miejsce w jej klasie. Czyżby świadczyło to o tym, że zorganizowane ściąganie i różne konflikty typu: „zdradził klasę wobec belfrów" były i są wyłączną domeną mieszczuchów?!

Nie wiem, ale są to jedyne dwa wnioski, które można wyciągnąć z obfitej korespondencji, która w „sprawie Izy" nadeszła. Bo poza tym reprezentowaliście bardzo różne poglądy i opinie. Wynika z nich, że Iza jest albo winna, albo... niewinna. Zresztą – przeczytajcie sami!

Informacje dla tych, którzy nie czytali artykułu pt. „Winna?!": przed trudną klasówką z fizyki klasa dokonała ogromnego wysiłku, aby każdego ucznia zaopatrzyć w komplet „pewnych" ściągawek. W czasie klasówki nauczyciel zauważył, że Iza z takiej korzysta i zapytał, skąd ją ma, a Iza pod wpływem strachu zdradziła nazwiska głównych inicjatorów. Jedyną nieprzyjemnością, która spotkała klasę było to, że klasówkę powtarzano. Iza czując swą winę usiłowała się przed klasą usprawiedliwić. Nikt nie chciał jej słuchać. Po prostu od tego momentu zaczęto ją traktować jak... powietrze.

SA-MO-LUB

Myślę, że przede wszystkim winni są... Wojtek i Jacek. Co prawda doceniam ich spryt, „inteligencję" i ogromny trud, ale ściąga, to najfatalniejsze wyjście z trudnej klasówki. Czy w tej sytuacji uniewinniam całkowicie Izę? Nie, jednak nie. Mogła przecież przygotować się do klasówki i nie korzystać ze ściągawki. Wydając zaś chłopców sprawiła wrażenie istoty zmuszonej wręcz do korzystania ze ściągawki siłą. A przecież nikt jej nie zmuszał. Myślę więc, że nie jest ona ani lizusem, ani skarżypytą, tylko po prostu egoistycznym samolubem! Dla Izy nie ma w tym wypadku usprawiedliwienia. Co przeżyła przy tym „nakryciu", wiemy, czytaliśmy. Ale co przeżyła w tym momencie reszta klasy!

Baśka Ch. z Łodzi

Sprawa Izy

WINNA, albo... NIEWINNA

ŁASKA I WDZIĘCZNOŚĆ

Choćby Iza była nie wiem, jak winna, to przecież nie żyjemy w średniowieczu, gdy za jeden mały błąd człowiek był na całe życie izolowany od innych ludzi! Uważam, że klasa powinna jak najszybciej znowu przyjąć Izę do swojego grona, a Iza powinna o tym pamiętać i kiedyś przy okazji się odwdzięczyć.

Magda K. z Sosnowca

SKRUCHA I... CUKIERKI

Bardzo mi żal Izy i wcale nie sądzę, żeby nie dało się nic zrobić. Wydaje mi się, że jest wiele sposobów, aby Iza mogła wyjść z tej ohydnej sprawy. Np. może poprosić o zwołanie zebrania klasy i wytłumaczyć im swoją winę, okazać skruchę – na pewno zrozumieją, przecież wszyscy nie mogą mieć serc z kamienia! A gdy jeszcze do tego fundnie im cukierków czy ciastek, to... ja bym jej tam wybaczył!

Marek K. z Gryfic

I TAK BY SIĘ NIE UDAŁO

Klasa, która zdecydowała się na podobne rozwiązanie problemu klasówki, powinna liczyć się z tym, że gdy wszyscy będą ściągać, nauczyciel nie założy opaski na oczy i że jakaś wpadka jest bardzo prawdopodobna. A nawet gdyby się udało, to co?! To nauczyciel by uwierzył, że wszyscy bez wyjątku umieli na piątkę?!

Lucyna z Wrocławia

UCZCIWOŚĆ KONTRA... ROZSĄDEK

Iza miała absolutną słuszność przyznając, że ściągi zorganizowali Wojtek z Jackiem. Świadczy to o niej, że jest dziewczyną uczciwą, choć nie mogę powiedzieć, że... rozsądną.

Jolka N. z Wrocławia

CEL – OPANOWANIE

Właściwie pierwsze, co nasuwa się na myśl, to to, że nie powinno się robić tego rodzaju rzeczy (myślę o tych ściągawkach dla całej klasy). Ponieważ jednak sam jestem uczniem, i to dość leniwym, to twarde obstawanie przy tym byłoby hipokryzją. Więc na ten temat już ani słowa, zajmę się postępowaniem samej Izy. Myślę, że diagnoza jest łatwa – nie jest ona ani lizusem od urodzenia, ani skarżypytą notoryczną, zawiodły ją nerwy. Musi więc popracować nad sobą, żeby w przyszłości, w poważniejszych życiowo sytuacjach niż ta, kto komu dał ściągę, potrafiła je opanować.

Mirek B. z Warszawy

JAK NIE CHCE, TO NIE POWIE

W mojej klasie nie ma nikogo takiego jak Iza, a nawet jeśli znajdują się czasami wyjątki, to staramy się zmienić ich charaktery i zawsze nam się to dotychczas udawało. Dlatego cały ten problem jest mi trochę obcy. Niemniej jednak uważam, że każdy człowiek powinien umieć nad sobą panować i nawet w najtrudniejszych, najbardziej denerwujących wypadkach jak naprawdę nie chce, to nic niepotrzebnego z ust mu się nie wyrwie. Dlatego i Izy nie usprawiedliwia, że zdradziła pod wpływem strachu.

Ela z Gdyni

PECH

Ciekawa jestem, jakby się zachowała taka Anka, gdyby znalazła się na miejscu Izy?! Iza jest po prostu pechowa. To przecież nie jej wina, że fizyk „złapał" właśnie ją!

Ewa M. z Sopotu

OSTROŻNIE ZE „STAWIANIEM KRECHY"!

Ogromnie Izie współczuję. To musi być dla niej straszne, ta krzywda, którą jej wyrządzono. Jestem przekonana, że nie ma takiego ucznia, który by nie popełnił czegoś niewłaściwego, niechcący. Zbyt często i zbyt pochopnie „stawiamy na nim krechę".

Anka z Jabłonnej

JEDEN ZA WSZYSTKICH

Bardzo mi się nie podoba, że Iza stara się usprawiedliwiać sama siebie. To nic nie da. Jest winna. Gdy nauczyciel ją „złapał", chciała być czysta wobec niego i... oczerniła swoją klasę. W takiej sytuacji naprawdę dobra koleżanka bierze winę na siebie. Lepiej przecież dla ogółu, gdy jedna osoba ponosi karę, niż gdy wszystkie.

Ola

I co sądzicie w tej chwili?! Z którą opinią byście się zgodzili? Czyje zdanie wzbudza wasz sprzeciw? Dlaczego? Jest w końcu Iza winna, czy niewinna?!

- **Zastanówcie się!**
- **Porozmawiajcie z przyjaciółmi!**
- **Napiszcie!**

Tak jak i poprzednio zaznaczcie na kopertach hasło: „Sprawa Izy". Czekam, wraz z Izą, na Wasze listy!

EWA KŁOSIEWICZ

Tajemnicze losy korony króla Stefana I

SKARB WRÓCIŁ DO PRAWOWITYCH WŁAŚCICIELI

„Budapeszt, piątek 6 stycznia 1978. Sala pod Kopułą węgierskiego Parlamentu. Na obitym czerwonym atłasem podwyższeniu najcenniejsze relikwie narodu węgierskiego – korona króla Stefana I, obok niej królewskie jabłko i berło, za nią rozpięty, tkany złotem płaszcz koronacyjny królów węgierskich. Wokół warta kompanii honorowej Węgierskiej Armii Ludowej" – tyle relacja prasowa z uroczystości przekazania korony Stefana I, która po latach powróciła na Węgry zwrócona przez rząd USA.

Opowiadając o jej burzliwych losach trzeba cofnąć się aż do lat panowania księcia Gejzy, który w państwie zorganizowanym przez osiadłe na Nizinie Węgierskiej plemiona Madziarów, zaczął wprowadzać chrześcijaństwo. Jego syn, Vajk, podczas chrztu otrzymał imię Stefan, poślubił bawarską księżniczkę, Gizelę i kończąc dzieło ojca zjednoczył państwo. Wprowadzając liczne przywileje dla Kościoła, Stefan zjednał sobie papieża Sylwestra II, czego wyrazem było otrzymanie z rąk papieskich w roku 1001 korony królewskiej. W 50 lat po śmierci Stefan I za zasługi w krzewieniu wiary chrześcijańskiej, ogłoszony został świętym. Otrzymana z rąk papieża korona, zwana teraz koroną św. Stefana, weszła w skład insygniów niezbędnych podczas wszystkich koronacji królewskich.

Korona, wykonana ze złota, składa się z diademu ozdobionego dwoma rzędami pereł, ośmioma drogocennymi kamieniami, w tym dwoma olbrzymimi szafirami, emaliowanymi plakietkami i licznymi ornamentami zamocowanymi na diademie. Dwa złote łuki, spajające diadem, zwieńczone są na szczycie krzyżem. Ozdobne plakietki przedstawiają postacie władców i świętych, a inskrypcje wokół postaci wykonane zostały w języku greckim. Kształt i napisy sugerują, że koronę wykonał mistrz pochodzenia bizantyńskiego, a przeznaczona była prawdopodobnie dla kobiety. Ale może tutaj wchodzić w grę fakt, że zrobiona została dla władcy niższej rangi. Krzyż znajdujący się na szczycie jest lekko przekrzywiony, co według historyków nastąpiło między 1613 a 1798 rokiem. Istnieje również prawdopodobieństwo, że krzyż ten pochodzi z innej korony i został zamontowany, gdy wiedziano już dla kogo jest przeznaczona.

Bezcenna relikwia narodu węgierskiego miała również związki z naszym krajem, a konkretnie z królem Władysławem II Jagiellończykiem. Po śmierci króla Albrechta Habsburskiego do Krakowa przybyli posłowie węgierscy, by ofiarować tron swojej ojczyzny królowi polskiemu, w zamian za pomoc w walce z Turkami. Król miał poślubić wdowę po Albrechcie, młodą jeszcze bo zaledwie 30-letnią Elżbietę, która zresztą spodziewała się potomka z poprzedniego małżeństwa.

Władysław Jagiellończyk przystał na te warunki, ale Elżbieta nie chciała się dzielić władzą i jak mogła przeszkadzała w rokowaniach na ten temat. Elżbieta postanowiła wykraść koronę św. Stefana, która w wypadku urodzenia się syna miała zapewnić mu prawowitą władzę, natomiast gdyby powiła córkę, miała być cennym zastawem. Z zamku wyszehradzkiego koronę wykradła zaufana dworka – Helena Kottanerin.

W Polsce toczyły się jeszcze rozmowy z posłami węgierskimi, gdy zjawił się posłaniec z wiadomością, że Elżbieta urodziła syna i nadała mu imię Władysław. Historycy później nazwali go Pogrobowcem. Pomimo to spisane zostały dokumenty, na mocy których Władysław Jagiellończyk miał zasiąść na tronie węgierskim. Elżbieta widząc, że sytuacja jest coraz bardziej dla niej niekorzystna, w Białogrodzie, bez zgody sejmu, koronowała swego syna. Po tej ceremonii ukryła koronę pod pościelą w kołysce i przewiozła przez granicę do Wiednia, gdzie zmuszona była zastawić ją u cesarza Fryderyka III.

Dopiero po przeszło 20 latach korona Stefana powróciła na Węgry.

Monarcha bez korony

Innym pretendentem historycznego insygnium władzy królewskiej był Karol, ostatni władca austro-węgierski. Prawdopodobnie to on przywłaszczył sobie liczne kosztowności i kamienie szlachetne, które zdobiły insygnia austriackie i zastąpił je kopiami, a oryginały wywiózł do Szwajcarii. Nie chciał też łatwo zrezygnować z korony św. Stefana i dwukrotnie usiłował ją

DOKOŃCZENIE NA STR. 4

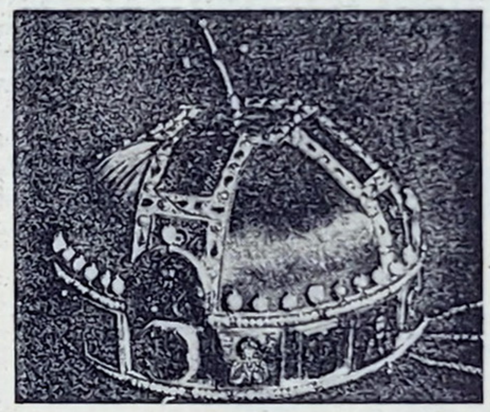

Tak wygląda kopia insygniów koronacyjnych królów węgierskich. Wykonał je Lajos Bartha. Były one przechowywane w węgierskim Muzeum Narodowym. Teraz w Muzeum wystawiane są już oryginalne insygnia, które po latach powróciły na Węgry ze Stanów Zjednoczonych

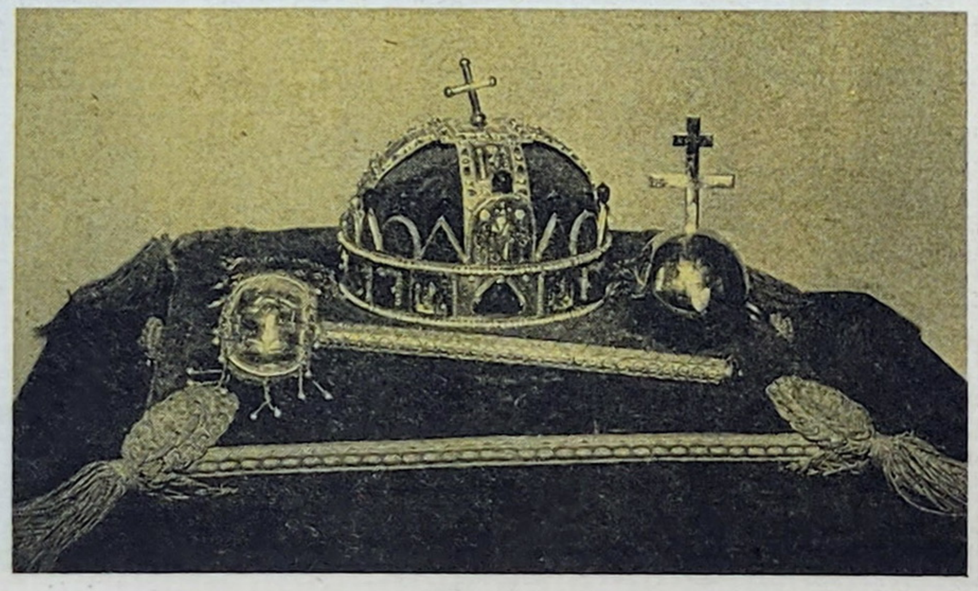

To jest fotografia wykonana w roku 1938 i przedstawiająca oryginalną koronę króla Stefana

Jest to jeszcze dawniejsze zdjęcie, pochodzi z roku 1880 i przedstawia zbliżenie jednego z fragmentów oryginalnej korony króla Stefana. Na wizerunku tym przedstawiony został Michał VII Dukas – cesarz bizantyjski

Fot. **INTERFOTO MTI**

REDAKCYJNA POCZTA

Trzynastu bez charakterów

Chciałam zadać tylko jedno pytanie: czy trzynastu dorodnych chłopców może zdemoralizować się pod wpływem jednego ucznia? Ja odpowiadam: tak! W naszej klasie znalazł się jeden taki ananas, który namawia naszych kolegów do palenia papierosów i picia wina. Skutkiem tego zdarzają się coraz późniejsze powroty do domu i zaległości w odrabianiu lekcji. Takie postępowanie do niczego dobrego nie doprowadzi. Proszę więc o wydrukowanie listu, może nasi chłopcy w porę się opamiętają.

Jedna z dziewcząt z klasy VIIc

Każdy ma prawo do swoich zainteresowań

W 141 „ŚM" Ada skarżyła się, że jej rodzice nie są zadowoleni z zainteresowań córki. Ja sama uwielbiam piłkę nożną i staram się nie przeoczyć ani jednej transmisji. Często też grywam z kolegami. Rodzice nie są jednak przeciwni moim zainteresowaniom, gdyż i oni czasami lubią oglądać transmisje z meczu piłki nożnej. Uważam, że każdy ma prawo mieć swoje własne hobby, a nie wybrane lub narzucone przez kogoś.

Danka z Zubka

Dziewczęta, nie wmawiajcie sobie za wiele

List adresuję do Arlety, która wypowiadała się w „Redakcyjnej Poczcie" 148 nr „ŚM". Chciałabym wyjaśnić Arlecie i innym dziewczętom, że to, co zawiązuje się między chłopcem a dziewczyną najczęściej nie jest trwałym uczuciem. Jest to obustronna fascynacja, która rzadko przeradza się w prawdziwe uczucie. Po bliższym poznaniu okazuje się, że nie ma o czym mówić, że różnimy się za bardzo, że nie potrafimy się zgodzić i oddalamy się od siebie. Wtedy najlepiej rozstać się i nie wmawiać sobie, że się chłopaka kocha. Wydaje mi się, Arleto, że bardzo chciałabyś mieć chłopaka na stałe, a przecież musisz się przyzwyczaić do tego, że w naszym wieku jest to prawie niemożliwe. Piszę „prawie", bo czasem zdarzają się takie wypadki, że między dziewczyną a chłopcem rozwinie się prawdziwa miłość. Nie rób więc sobie planów na przyszłość, nie obiecuj sobie za wiele, bo często takie plany zniechęcają partnera.

Aka

OD REDAKCJI: List Aki drukujemy z dużą satysfakcją, ponieważ niesłychanie rzadko zdarza się, aby dziewczyny tak rozsądnie patrzyły na życie. Stwierdzamy to na podstawie licznych korespondencji. Ogromna większość dziewcząt złudzenie bardzo chętnie bierze za rzeczywistość. „On na mnie spojrzał, redakcjo, więc na pewno mnie kocha". „Dlaczego nie pisze, skoro na ogniskach podczas wakacji zawsze siedział obok mnie". „Do szkoły jeździmy jednym autobusem. Zawsze daje mi pierwszeństwo w przejściu. Na pewno mnie kocha, prawda"? Oto nieliczne fragmenty z listów na poparcie tego, co mówimy. A zatem, dziewczęta, jeszcze raz uważnie przeczytajcie list Aki i zdobądźcie się na rozwagę, jaką ona reprezentuje.

(bs)

EKRAN ŚM

„BŁĘKITNY PTAK"

Kwiat paproci, stoliczku–nakryj się, woda życia, czarodziejskie pierścienie – wiele jest w ludowych i literackich baśniach przedmiotów obdarzonych mocą magiczną – a wszystkie od wieków już symbolizują jedno – dążenie ludzi do szczęścia i dobra. Aby zdobyć któryś z tych przedmiotów, trzeba przejść wiele prób niezwykłych i trudnych, a potem umieć utrzymać ten skarb przy sobie, bo szczęście jest kapryśne i ulotne.

W roku 1909 znany belgijski dramaturg Maurice Maeterlinck napisał baśniowo-poetycki utwór na ten odwieczny temat – „Błękitnego ptaka". Zachwycił nim swoich czytelników, którzy twierdzili, że nie było dotąd baśni tak czystej i dobrej, w której nie ma cienia okrucieństwa, śladu krzywdy ludzkiej. Utwór cieszył się ogromną popularnością – wystawiany był na wielu scenach i czterokrotnie ekranizowany. Obecnie możemy oglądać ostatnią, najpiękniejszą, bo w kolorze i z wielkim rozmachem przygotowaną, radziecko–amerykańską wersję „Błękitnego ptaka" w reżyserii Georga Cukora.

Baśń tak się baje: – Dzieci ubogiego drwala – Tiltil i jego siostrzyczka Mitil we śnie pogrążają się w świat baśni. Zjawia się przed nimi wróżka Światło i powierza im trudne zadanie: mają zdobyć błękitnego ptaka, który odkryje przed ludźmi wszelkie tajemnice przyrody. Obdarzeni cudowną czapeczką z diamentem, która pozwala im widzieć wszystko i wszystkich prawdziwie i ratuje ich w ciężkich opresjach, Tiltil i Mitil wyruszają na długie i trudne poszukiwania. Towarzyszą im dusze stworzeń i przedmiotów z najbliższego otoczenia, z którymi dzięki cudownemu kamieniowi dzieci mogą się porozumiewać. Są to stary, dobrotliwy Chleb, życzliwy, gorący Ogień, perlista, roztańczona Woda, słodki i wesoły Cukier, wierny Pies i ulubiona Kotka.

Dzieci trafiają na ślad ptaka szczęścia w każdym miejscu, w którym się znajdują: za pajęczyną przeszłości – u dawno zmarłych dziadków, w Królestwie Nocy, w Krainie Przyjemności, w Królestwie Przyszłości – lecz on im umyka, a jeśli go chwytają, szarzeje im w dłoniach i staje się pospolitym ptaszkiem.

A jednak dzieci odnajdują cudownego ptaka – i to nie w baśniowym śnie, ale na jawie, w swym ubogim domu. Staje się nim ich ulubiona synogarlica, którą bez wahania oddają chorej dziewczynce z sąsiedztwa, by właśnie jej przyniosła szczęście i radość. Ptak ulatuje – to jednak nikogo nie smuci. Dzieci już wiedzą, że można znaleźć go wszędzie, nauczyły się bowiem w swojej wędrówce, że szczęście jest tam, gdzie dobro.

Do tej pięknej w swej wymowie i prostej zarazem opowieści reżyser zaangażował wielu słynnych aktorów. Przede wszystkim Elizabeth Taylor, aż w czterech wcieleniach; jest Matką, wróżką – Światło, Czarownicą i Macierzyńską Miłością. Jane Fonda wystąpiła w roli groźnej strażniczki tajemnic – Nocy, Ava Gardner jest piękną i bogatą Przyjemnością, w roli Błękitnego Ptaka tańczy urocza Nadieżda Pawłowa. Nawet dzieci są już wytrawnymi aktorami. Tiltila gra 11-letni uczeń z Kalifornii Todd Lookinland (to już jego jedenasta rola), a mała Mitil – to Angielka Patsy Kensit, która od trzeciego roku życia występuje w filmie i TV. Tańczą również i grają artyści leningradzkiego Teatru Opery i Baletu im. Kirowa i Leningradzkiej Orkiestry Symfonicznej oraz kilkaset dzieci leninradzkich w sekwencji w Królestwie Przyszłości.

Kostiumy są barwne i malownicze, sceny baletowe, których jest bardzo wiele, porywające, piosenki urocze i łatwo wpadające w ucho, prócz tego wiele subtelnego humoru i dowcipu. W sumie sztuka Maeterlincka została odczytana przez twórców filmu tak, jak by sobie tego życzył autor, bo zostały zachowane jej najcenniejsze wartości – przyjaźń, wierność, miłość, dobroć i poświęcenie.

„Błękitny ptak" jest pierwszym filmem zrealizowanym wspólnie przez kinematografie – radziecką i amerykańską i jest to udana zapowiedź ewentualnej przyszłej współpracy. Dla najmłodszych widzów jest to wspaniały prezent. Ale nie tylko... Ta bajka przeznaczona jest dla wielu pokoleń.

EWA BIELSKA

SKARB WRÓCIŁ DO PRAWOWITYCH WŁAŚCICIELI

DOKOŃCZENIE ZE STR. 3

wykraść. Podczas pierwszej wizyty przejechał konnym wozem granicę i pojawił się w Szombathely w pałacu biskupa, hrabiego Mikesa. Z miejscowego garnizonu utworzył „straż królewską" i udał się do Budapesztu. W czasie rozmowy z regentem Horthym, której treści po dziś dzień nie ujawniono, zrezygnował jednak i obiecał, że już nigdy nie przekroczy granicy węgierskiej. Ale słowa nie dotrzymał. Po upływie połowy roku ponownie pojawił się na Węgrzech. Tym razem lepiej przygotował całą akcję. Wylądował samolotem w dobrach hrabiego Ciraky. Czekały tu już przychylne oddziały wojska, utworzono także rząd. Tym razem regent nie był już tak uprzejmy i na spotkanie ex-króla wysłał wojska, które wzięły do niewoli pretendenta do korony, a sejm węgierski ogłosił detronizację Habsburgów.

Nie wyjaśniona zagadka

Najbardziej jednak tajemnicze okoliczności towarzyszyły zaginięciu korony św. Stefana podczas ostatniej wojny.

Mimo przystąpienia Węgier do wojny po stronie Niemiec hitlerowskich, rząd węgierski prowadził tajne rozmowy z Anglosasami. Jednak wywiad niemiecki dowiedział się o tym i Hitler nakazał przystąpić do natychmiastowej zbrojnej okupacji Węgier. Po tym fakcie na czele rządu stanął współpracujący z hitlerowcami Ferenc Szalasi. Gdy pod koniec 1944 roku wojska radzieckie zbliżały się do Budapesztu, Szalasi postanowił uciec z kraju wraz ze zgromadzonymi kosztownościami, a wśród nich z koroną św. Stefana. Pociąg, który wiózł skrzynie ze skarbami, ruszył w kierunku Austrii i Niemiec. Po przybyciu do Wiener Neustadt część drogocennego ładunku umieszczono na ciężarówkach, a pociąg jechał dalej i w okolicach Schwarzach zatrzymany został przez żołnierzy amerykańskich. I na tym ślad urywał się.

Według angielskiego historyka, Nicolasa Adama, sprawą korony zainteresował się w 1947 roku kardynał Józef Mindszenty, znany ze swej nieprzychylnej postawy do ludowego rządu węgierskiego. Napisał on do przedstawiciela USA w Budapeszcie list z prośbą o zwrot korony, pozostającej w rękach armii amerykańskiej i przewiezienia jej do Rzymu, gdzie będzie pod najlepszą opieką. Kardynał wysłał następne listy do dostojników kościelnych w Niemczech i Austrii, apelując o wywarcie nacisku na Amerykanów, aby wydali koronę św. Stefana. Wkrótce rozpoczęły się tajne rozmowy między przedstawicielami dyplomacji amerykańskiej i Watykanu.

W 1965 roku prasa włoska doniosła o kradzieży z Watykanu cennych pamiątek historycznych, w tym także korony Stefana. Wydawało się, że teraz już Węgrzy będą wiedzieli czy ich skarb był w Watykanie. Po pewnym czasie ogłoszono, że odzyskano zabytki. Niestety rzecznik prasowy Watykanu wyjaśnił, iż korona, o której pisała prasa, to tylko kopia oryginału.

Dopiero po latach sporów i dociekań, gdzie właściwie jest korona, niespodziewanie rząd USA, w grudniu ubiegłego roku zapowiedział, że na początku 1978 roku zwróci narodowi węgierskiemu jego największą historyczną pamiątkę – koronę św. Stefana.

JANUSZ ORŁOWSKI

SAM SPRAWDZISZ

MIKROKOSMOS NA EKRANIE

Władał czynnie siedmioma językami europejskimi, w czterech publikował swoje prace. Z myślą o zapaleńcach samodzielnie zdobywających wiedzę napisał obszerny „Poradnik dla samouków". Był znawcą muzyki. Uprawiał narciarstwo. Torował innym drogi w Tatrach, Alpach, Dolomitach. Liczne trasy wspinaczkowe pokonał po raz pierwszy w historii gór. Nie bez racji Austriacki Klub Alpejski przyznał mu Srebrną Szarotkę. Kochał góry, ich piękno utrwalał w akwarelach. Szkoda, że tylko jedna z nich znalazła się na otwartej niedawno w Muzeum Techniki w Warszawie wystawie „Marian Smoluchowski, wielki fizyk, współtwórca teorii kinetyczno-molekularnej".

Prądy filozoficzne epoki nie sprzyjały rozwojowi atomizmu. Ernest Mach, fizyk i filozof wiedeński, występował przeciw pojęciom nie potwierdzonym doświadczalnie. Nierzeczywistym, wymyślonym tworem był wówczas atom. Dominujące poglądy krępowały najświatlejsze umysły, skłaniając do ostrożnego wyciągania wniosków z obserwowanych zjawisk. Ale przyroda nie chciała się podporządkować filozofii...

Obserwując pyłek kwiatu w kropli rosy, angielski botanik Brown spostrzegł, że ziarna pyłku poruszają się bezładnie. Wyjaśnienie ruchów Browna przypadło jednak w udziale Einsteinowi i Smoluchowskiemu.

Na ekranie telewizora niezliczone białe punkciki na ciemnym tle poruszają się powoli i bezładnie.

– Cudowne, zupełnie jak gwiaździste niebo – zachwyca się ktoś ze zwiedzających. Te „gwiazdy", to cząsteczki mleka zawieszone w wodzie. Obraz tej mieszaniny można oglądać obok w mikroskopie.

Dalej podobny widok: na ekranie monitora połączonego z mikroskopem, w tysiąckrotnym powiększeniu, mieszanina wody z mlekiem. Z tą różnicą, że na tym monitorze wyznaczono kółko, dzięki któremu każdy ze zwiedzających może przeprowadzić te same obliczenia co Marian Smoluchowski. Otóż wystarczy np. co 30 sekund lub co minutę policzyć białe punkciki w „okienku". Po dziesięciu pomiarach stosując wzór podany na planszy obliczycie wyniki i porównacie go z tym, który osiągnął Smoluchowski. W razie wątpliwości czy trudności możecie się zwrócić do przewodnika dyżurującego na sali.

Bardzo efektownie zademonstrowano zjawisko tzw. opalescencji krytycznej, wyjaśnio

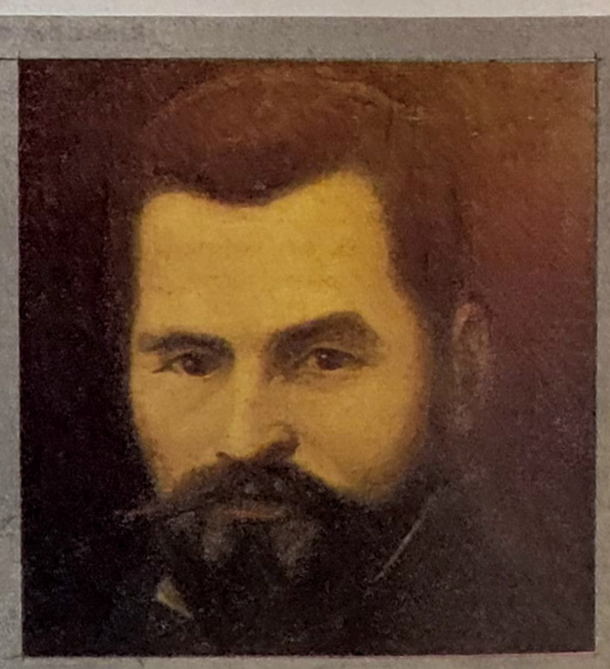

Współtwórca teorii kinetyczno-molekularnej spogląda ze starego portretu

NA INDIAŃSKIEJ ŚCIEŻCE

Czy można zatrzymać wiatr?

Chłopcy grali w piłkę. Ale zamiast szortów, koszulek gimnastycznych, trampek, ubrani byli w tradycyjne stroje: bluzy z bufiastymi rękawami z białej, szorstkiej i grubej bawełny, spodnie obramowane fantazyjnym haftem w kwiaty i zwierzęta. I pasy – kolorowe, wełniane szarfy z tkanych małych, kwadratowych woreczków podobnych do sakiewek, podskakujących przy każdym ruchu. Buty takie same, jakie nosili ich przodkowie: drewniane podeszwy z cienkimi rzemykami oplatającymi kostkę. Na głowach kunsztownie przyozdobione kapelusze. Tak przeplata się dzisiejszy świat z przyzwyczajeniami ludzi, którzy w dwudziestym wieku dumnie noszą swój indiański strój.

Indianie Huichol żyją w górzystym terenie, na mapce obszar oznaczony strzałką

Dzieci przyozdabiane są symbolem kwiatu kaktusa

Ludzie mitu i magii

Dziewięciotysięczne plemię Indian Huichol rozrzucone jest wśród dzikiego, górzystego regionu Meksyku. Mówią językiem pokrewnym językowi dawnych Azteków, wyznają własną religię. Mimo że od kilkunastu lat rząd meksykański dąży do wciągnięcia plemienia w orbitę XX-wiecznej cywilizacji, Indianie Huichol utrzymują nadal, że żadna kultura nie jest wyższa niż ich własna.

Szaman (wódz) plemienia nosi imię Hilario. Wziął delikatnie do ręki muwieri – świętą pałeczkę, dzięki której może rozmawiać z bóstwami. Muwieri jest obwiązana jasną przędzą, do jednego jej końca przywiązane są luźno opadające pióra i grzechotki wężów. Teraz poruszył muwieri, aż pióra zatrzepotały jak żywe, podniósł ją w kierunku słońca i powiedział: ,,Módlmy się o błogosławieństwo bogów i o deszcz, aby wykarmił nasze zbiory i wyżywił nasze bydło". W San Jose rozpoczął się obrzęd przywoływania deszczu. Duża owalna świątynia zwrócona w stronę wschodzącego słońca, ze stromym dachem krytym strzechą, pozbawiona okien, ma tylko jedno wejście. Prowadzi ono do okrągłego patio. Tutaj tańczyli mężczyźni i kobiety odświętnie ubrani, z twarzami pomalowanymi w symboliczne wzory kwiatu kaktusa, zwalniając czasem i wstrzymując ruch, kiwając się jak węże. Tancerzy prowadził mężczyzna unoszący nad sobą jelenie rogi. Szaman siedział w rytualnym krześle, zwrócony w stronę płonącego u wejścia ognia. Rozpoczynał modły do pięciu bóstw: Wschodu, Zachodu, Północy, Południa i Centrum. Gdy umilkł śpiew, kilku Indian wniosło misy wypełnione mieszaniną kaktusa, o magicznym znaczeniu i słodkiego piwa produkowanego z kiełkującego zboża. Złożono ofiarę Dziadowi Ognia.

Przed zachodem słońca Indianie opuścili świątynię, by wziąć udział we wspólnej uczcie złożonej z rytualnych potraw – płatków kukurydzianych, śliwek, mango i wołowego rosołu. Szaman przeniósł ogień ze świątyni, a mężczyźni układali nad płomieniami kawałki drewna tak, aby ich końce wskazywały zawsze wschód i zachód. Uroczystości ciągnęły się do późnej nocy. Tańczono i śpiewano przy ogniu, mimo że zaczął padać upragniony deszcz. Muzyka i śpiewy stawały się coraz głośniejsze, tak jakby Indianie Huichol prowadzili coraz intensywniejszy dialog ze swoimi bóstwami, pragnąc, by drogocenny deszcz nie przestał padać.

Pielgrzymka do Wirikuta

Aby zdobyć kaktus, Indianie odbywają 300-milową męczącą wyprawę do krainy zwanej – Wirikutą. Pielgrzymka uznana jest przez nich za najważniejsze wydarzenie roku. Kobiety, mężczyźni, a nawet dzieci późną jesienią wyruszają do Wirikuta. Po drodze zatrzymują się w świętych miejscach, aby złożyć ofiary i oddać się obrzędowi ,,oczyszczania". Pielgrzymi niosą linę oznaczając węzłami, który to dzień wyprawy i w jakim miejscu się ona znajduje. Takie same liny posiadają ci, którzy zostają w swojej osadzie, aby chociaż w ten sposób towarzyszyć wyprawie. Gdy pielgrzymi przybywają do krainy kaktusów, na czoło grupy wysuwa się szaman. Taki jest zwyczaj, że on pierwszy musi znaleźć roślinę. Gdy szaman triumfująco podniesie do góry rękę z trudno zauważalną rośliną (poszukiwany przez Indian kaktus jest mały, rośnie głównie pod ziemią), pozostali członkowie wyprawy mogą rozpocząć poszukiwania.

Kaktusów nazywanych hikuri używają podczas większości obrzędów religijnych. Uważają, że zjedzenie tej rośliny pomaga pozbyć się zmęczenia i pragnienia, a także umożliwia kontakt z bóstwami.

Wkracza cywilizacja

Huichol najwcześniej zetknęli się z Hiszpanami. Najprawdopodobniej na początku XVIII w. zakonnicy franciszkańscy jako ,,wysłannicy obcego Boga" spenetrowali góry zamieszkiwane przez plemię. Przyjmowano ich niechętnie i bojaźliwie, ale niemieckie wpływy europejskie pozostały po dziś dzień. Huicholowie przyjmują niektóre imiona hiszpańskie, a nawet pozwalają misjonarzom uczyć swoje dzieci języka hiszpańskiego. Przyjęli też od nich niektóre metalowe narzędzia używane w gospodarstwie domowym i domowe zwierzęta.

I tak to niewielkie plemię Indian, rozproszone w trudno dostępnych górach, żyłoby sobie spokojnie korzystając w znikomym tylko stopniu z kultury hiszpańskiej, gdyby od kilkunastu lat rząd meksykański nie wzmógł swoich wysiłków w kierunku ,,wprowadzenia Indian na narodową orbitę". Program ,,umeksykowienia" Indian opracowano w 1960 roku. Miał on za zadanie wykorzystanie zasobów naturalnych regionu oraz podniesienie poziomu życia na tych odległych terenach. Wprowadzono obowiązek nauki, demonstruje się nowoczesne metody gospodarowania i hodowli zwierząt. Nie dziwią dziś już Indian samoloty, ani szczepionki, ani turyści. Ale boją się, że w ten sposób może ulec zniszczeniu ich tradycyjna kultura. Bywa, że szkoły stoją puste, nawet w najgorętszym okresie egzaminów końcowych, bo uczniowie ,,odbywają" spacer do swoich odległych górskich ranczo, aby na polach rodziców pomagać w zbiorach lub wziąć udział w uroczystościach ,,przywołania" deszczu. Ale są też tacy Indianie, którzy schodzą z gór, by podjąć sezonową pracę na nizinach, a czasami nawet osiedlają się w Mexico City. Jeden z nich zapytany dlaczego ,,przehandlował" cichość i spokój gór na zgiełk i zaduch miasta, odpowiedział: ,,Bo tutaj mogę zarobić pieniądze".

Ci, którzy pozostają, także chcą zarabiać pieniądze. Rozwijają rzemiosło związane z ich tradycyjnymi umiejętnościami, produkują indiańskie pamiątki dla wciąż rosnącej ilości turystów: kilimy, tkane pasy, paciorki.

Rząd meksykański wprowadzając swój program zezwala jednak na zachowanie obrzędów i zwyczajów.

Indianie Huichol boją się o swoją kulturę, ale nie sprzeciwiają się wysiłkom rządu. Mówią po prostu: czy można zatrzymać wiatr?

Oprac. MARZENA WIERZCHOLSKA
Fot. **archiwum**

Huichol przyjęli przyniesione przez ,,obcych" gry, ale ciągle noszą dumnie swój indiański strój

Powrót z wyprawy do Wirikuta

WZÓR SMOLUCHOWSKIEGO

ne przez tego samego wybitnego polskiego fizyka. W szklanej rurze – przeźroczysta ciecz. Światło lasera rubinowego przechodząc przez nią tworzy wąską, czerwoną smużkę. Ale tylko wtedy, gdy pali się czerwona lampka. To sygnał, że ciecz na pozór jednolita, a naprawdę złożona z dwóch różnych składników, jest właśnie podgrzewana. Oba płyny umieszczone w rurze, tj. cykloheksan i metanol, zachowują się podobnie jak oliwa i woda. W podwyższonej temperaturze tworzą jednolitą mieszaninę, ale w temperaturze pokojowej nie mieszają się z sobą. Po chwili zobaczycie, że czerwona lampka gaśnie, a zapala się zielona. Od tej chwili ciecz jest chłodzona.

W pewnym momencie cykloheksan i metanol rozdzielają się: ciecz mętnieje, a światło lasera ulega rozproszeniu tworząc szeroką, okazałą smugę. Oto zjawisko opalescencji krytycznej w całej krasie!

Interesujące, doświadczalne przybliżenie publiczności zagadnień, nad którymi pracował Smoluchowski zawdzięczamy fizykom: doc. dr Anieli Wolskiej i prof. dr. Arkadiuszowi Piekarze. Oni bowiem przygotowali scenariusz wystawy. Trzeba sobie jednak zdać sprawę z tego, że ruchy Browna i opalescencja krytyczna to zaledwie wycinek działalności Smoluchowskiego na niwie fizyki. Zajmował się on także teorią przepływu cieczy, teorią roztworów, zagadnieniami dotyczącymi atmosfery Ziemi i planet, teoriami górotwórczymi. Ukoronowaniem jego prac była dyskusja na temat granic stosowalności II zasady termodynamiki.

W 1917 roku został powołany na stanowisko rektora Uniwersytetu Jagiellońskiego. Zmarł 5 września tegoż roku, w pełni sił twórczych, w 45 roku życia. Albert Einstein napisał wtedy: **,,Każdy, kto bliżej znał Smoluchowskiego, cenił w nim nie tylko bystry umysł, ale szlachetnego, subtelnego i życzliwego człowieka. Światowa katastrofa ostatnich lat wzbudziła w nim uczucie nieopisanego bólu z powodu okrucieństwa ludzi i szkód dokonanych w naszym rozwoju kulturalnym. Los zbyt wcześnie przerwał jego działalność uczonego i nauczyciela; my jednak będziemy zawsze wysoko cenić przykład jego życia i jego pracy..."**

Niestety, czas zadrwił ze słów Einsteina; jakby na przekór szybko pogrążył w zapomnieniu zasługi wielkiego uczonego. Wyniki jego badań cytowano anonimowo. Cóż, nie zdążył dochować się uczniów, którzy propagowaliby jego teorię. Dopiero w latach czterdziestych za sprawą Marka Katza, amerykańskiego matematyka polskiego pochodzenia, nazwisko Smoluchowskiego zaczęło się znów pojawiać w literaturze fachowej. Sława uczonego nie wybiegła jednak daleko poza grono fizyków. Jego prace nie były wszak lekturą dla wszystkich śmiertelników. Dlatego w społeczeństwie Marian Smoluchowski nie cieszy się takim uznaniem, na jakie zasługuje. Wystawa w Muzeum Techniki – to dług spłacony pamięci genialnego uczonego. Ekspozycja czynna do 6 lutego. Polecać jej chyba nie trzeba.

MARIA WRÓBLEWSKA
Fot. **K. Adamowski**

Ruchy Browna można oglądać pod mikroskopem lub na monitorze telewizyjnym

TAXI LUCAS - ELECTRIC

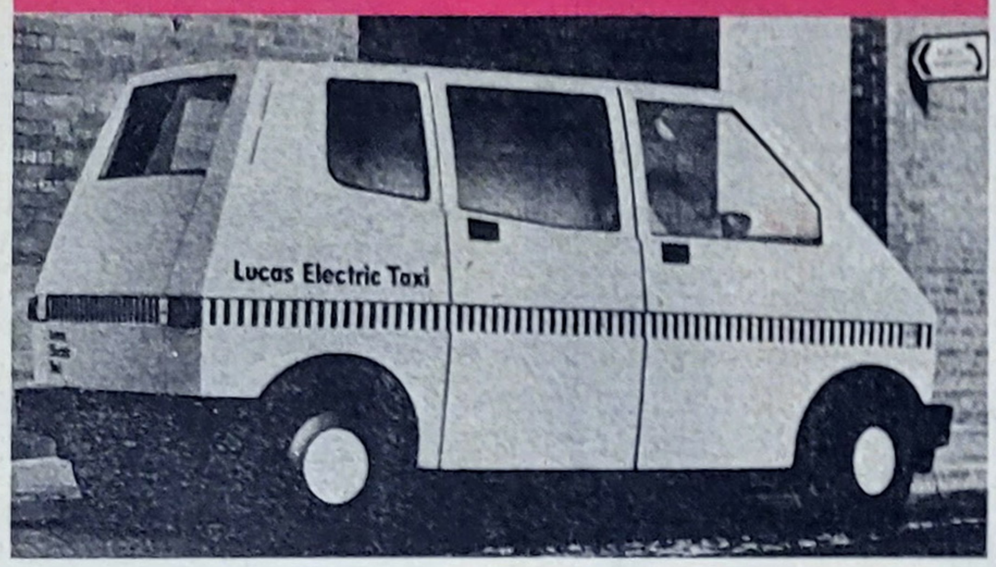

Na całym świecie podejmowana jest walka przeciwko zanieczyszczaniu powietrza i coraz bardziej nasilającym się hałasem. W związku z tym daje się zauważyć znaczny rozwój konstrukcji i produkcji samochodów o napędzie elektrycznym. Do czynników, które również w istotny sposób wpływają na ich rozwój, należy stała zwyżka cen paliw używanych do napędów współczesnych samochodów.

Samochody elektryczne z przeznaczeniem do ruchu na drogach publicznych są już produkowane w większych lub mniejszych seriach w Stanach Zjednoczonych, Francji, Włoszech, Polsce (MELEKSY), Wielkiej Brytanii. Właśnie w Wielkiej Brytanii powstał projekt elektrycznej taksówki, zwrotnej i komfortowej. Oznaczona marką TAXI LUCAS-ELECTRIC posiada bardzo nowoczesne nadwozie zamontowane na podwoziu furgonowym z wbudowaną szufladą, gdzie umieszczane są wymienne akumulatory. Silnik o mocy 50 KM pracujący pod napięciem 216 V produkowany jest przez firmę CAV, wchodzącą w skład koncernu Lucas. Silnik ten wbudowany jest z przodu, poprzecznie do osi pojazdu, przed przednią ścianą, na wysokości wewnętrznej podłogi. Moc jego jest przenoszona za pośrednictwem łańcuchów i skrzyni redukcyjnej na przekładnię główną z mechanizmem różnicowym. Przełożenie przekładni głównej wynosi 5,63 : 1. Smarowanie łańcuchów olejem odbywa się metodą natryskową (pompką olejową). TAXI LUCAS ma taki sam mały promień skrętu jak taksówki londyńskie.

Dzięki konstrukcji, w której silnik wraz z napędem i przednim zawieszeniem stanowią zwartą całość i mogą być odłączane od reszty pojazdu – naprawa samochodu jest niezwykle uproszczona i łatwa. Zainstalowane akumulatory pozwalają uzyskiwać prędkość maksymalną około 90 km/godz., a zasięg wynosi około 160 km. Takie wyniki osiągnął TAXI LUCAS dzięki daleko idącym udoskonaleniom, wprowadzonym do swoich ołowianych akumulatorów.

Warto nadmienić, że szereg firm brytyjskich prowadzi obecnie bardzo intensywne prace nad polepszeniem wydajności elektrycznych akumulatorów. Rozwiązania konstrukcyjne pozwalają na wymianę akumulatorów pojedynczo lub w komplecie tzw. szufladę. Dzięki specjalnym urządzeniom wymiana ta nie trwa dłużej niż napełnienie – w samochodach klasycznych – zbiornika paliwa. Akumulatory dają się rozładowywać 1500 razy. Dane wielkościowe TAXI LUCAS-ELECTRIC są następujące: długość 3670 mm, wysokość 1780 mm, szerokość 1770 mm, ciężar 2250 kg.

ZENON DUTKIEWICZ

Drukujemy dziś na naszej przyrodniczej kolumnie list nadesłany przez Czytelnika oraz dyskusję, którą ów list wywołał w redakcji.

Dziękując autorowi za tak szerokie przedstawienie swych poglądów – czekamy na dalsze opinie w tej sprawie.

REDAKCJA

SZANOWNA REDAKCJO!

W związku z artykułem pt. „Sokół czy nie sokół" („ŚM" nr 123 z 13.X.77 r.) pozwolę sobie zabrać głos na temat zmyślonych czy też prawdziwych obserwacji przyrody przez jej miłośników. Uważam, że w ogóle stawianie tak sprawy – „niektórzy młodzi obserwatorzy zmyślają" – nikogo nie dotycząc konkretnie, zarazem może obrazić każdego – bo zmyślanie jest często podświadome lub spowodowane złym rozeznaniem w przedmiocie. Aby taki zarzut postawić, nawet konkretnej osobie, trzeba by znać realia, a Wy tym przecież nie dysponujecie. Można o tym dyskutować w wąskim gronie, ale nie wypada publicznie, ponieważ wątpliwości dotyczą czyichś spostrzeżeń, a więc zjawisk subiektywnych, nie popartych ani fotografią, ani jakimkolwiek zapisem. Mimo że jestem – wraz z mym 10-letnim synem – czytelnikiem „ŚM", a szczególnie Klubu Ptakolubów, to mam już 50 lat i w swoim życiu widziałem dużo rzeczy dziwnych, ale też nie widziałem rzeczy b. popularnych, np. widziałem piorun kulisty, ale nie widziałem kukułki. Jeśli zaś chodzi o młodzież to wydaje mi się, że należy wziąć pod uwagę co najmniej to, że: A) Jest bardzo wścibska, B) Na ogół dzieci posiadają dużą zdolność spostrzegania. Np. mieszkające w moim bloku znalazły gniazdo ze słowikiem wysiadującym jajka i to w miejscu uczęszczanym przez okolicznych mieszkańców. C) Dzieci, szczególnie w małych miasteczkach i na wsiach, przebywają często w towarzystwie starszych ludzi, którzy zwracają im uwagę na przyrodę. Tak mogło być w przypadku Witka Kozioła z Moszczenicy, mógł on niektóre rzeczy sam widzieć, a niektóre opowiadał mu dziadek czy ojciec. Że on sobie przypisał to wszystko? Nie wiemy, czy tak było. A może on mieszka w takiej okolicy, że ma możność zaobserwować dużo z życia zwierząt? Ostatecznie, aby podważyć jego spostrzeżenia, trzeba by jechać na miejsce i zrobić tzw. wizję lokalną. Prawda, że w takiej sytuacji nie można dawać wiary niektórym obserwacjom, ale to jest ryzyko, którym jest obarczona każda masowa akcja obserwacyjna, bo przecież te obserwacje prowadzone są przez dyletantów dysponujących tylko dobrą chęcią. Wydaje mi się, że należy to wziąć pod uwagę, a listów z wątpliwymi spostrzeżeniami nie drukować, aby potem nie stawiać zarzutów o zmyślaniu...

Z poważaniem

K. Goszczyński
Łódź

„CO TO ZA ZWIERZĘ" czy „BLIŻEJ PRZYRODY"

Czy amatorskie obserwacje przyrodnicze są tylko zabawą, czy może czymś więcej? Co warto obserwować w przyrodzie? Czy nasze spojrzenie na nią nie jest zbyt szablonowe, obciążone informacjami znanymi z książek i ze szkoły? Rozmawiają o tym: Iks, Igrek, Zet.

X: Na samym początku chcę storpedować hasło, które się tu pojawiło „Sokół czy nie sokół". Czy to jest rzeczywiście takie ważne? Z bardzo wielu listów wynika, że u obserwatorów przeważa pytanie: „co to?"...

Z:... osobie takiej nadała Rodziewiczówna w „Lecie leśnych ludzi" imię Coto...

X:..., nie zaś: jakie to jest, jak się zachowuje... Idzie Ignaś Trąbka do lasu i patrzy... O! Pitrak zielony! Świetnie! Co on je, gdzie śpi – to mamy wszystko u Brehma, napisane. Więc lecę dalej, szukam... pitraka kłapciatego... I zapisuję w notesiku.

Y: To w żargonie ornitologów–amatorów nazywa się zaliczaniem gatunków. Rzeczywiście, czytając listy przysyłane do Klubu Ptakolubów odnoszę wrażenie, że to obserwatorów pociąga w szczególności. W ogóle lubią zagrzebać się w systematyce, a w nazwach łacińskich bywają obkuci na blachę.

X: Ja się z tym ciągle spotykam u siebie na działce. Ludzie przychodzą i pytają: co to za kwiatek? Powiedzieć im – i już są zadowoleni: „No, ładny". Wystarczy nazwa. Ten systematyczny ogląd świata, szufladkowanie. Straszna rzecz...

Z: Owszem, straszna. Ale co to ma wspólnego z „Sokół czy nie sokół"? W listach, które przychodzą do redakcji rzeczywiście często powtarza się motyw „napiszcie coś o zwierzętach jak pszczoły, kury i czy jeże mogą się rozmnażać. Przyślijcie duże kolorowe zdjęcia zwierząt lub jakąś książkę. Mam już ich 186 na obrazkach". To o czym rozmawiacie dotyczy – w moim pojęciu – tylko tych listów. Ale nie odzewu na hasło „Sokół". Te bowiem to zbiory ciekawych obserwacji, właśnie tego typu, jakie chcielibyśmy dostawać od czytelników. A pojęcie systematyczne, jaka jest nazwa ptaka, jest konieczne, aby korespondenci wiedzieli, że rozmawiają na wspólny temat. Systematyki trzeba się nauczyć tak samo jak liter, aby można było się porozumiewać.

X: Ale za pomocą samej kaligrafii i gramatyki nie poznasz literatury! Przyroda jest bogata, tyle się w niej dzieje ciekawego. Chodzi o obserwacje zachowania zwierząt, nie o nazwę i przynależność gatunkową. Jeżeli obserwator o nazwie nawet zapomni – nie szkodzi, niech napisze, co się działo. Niech czasem popatrzy na to zwierzę tak, jakby to był nieznany, jeszcze nie odkryty gatunek.

Y: Ale w ten sposób możemy otrzymać mnóstwo obserwacji banalnych, odkrywających to, co już jest odkryte. Jeżeli ktoś napisze, że widział rude stworzenie z dużą kitą, które skakało, brało orzechy z ręki, cmokało i tak dalej, to takie spostrzeżenie jest bezwartościowe.

Z: Właśnie że nie! Dlaczego ma być bezwartościowe? Z listu może wynikać, że autor robił obserwacje na którymś z biegunów, a wtedy ma wartość naukową. Wystarczy zresztą, że jest to pierwsza, naprawdę samodzielna obserwacja mieszczucha, która staje się wówczas wartością dla niego samego.

X: Jeśli ktoś pisze: „Widziałem borsuka" albo nawet – „Od dwóch lat pięć par kruków gnieździ się w okolicy". To co z tego? Ale jeżeli zauważono, że na przykład kanie zaczynają porywać ze sznurów bieliznę i budować z niej gniazda – to już zaczyna być ciekawe...

Y: Patrzysz na relacje czytelników pod kątem ich przydatności w gazecie. Informacja o kaniach kradnących bieliznę jest sensacyjna, więc ciekawa. Zaś podanie wiadomości, że widziano gdzieś tegoż ptaka, albo że występuje ileś ich tam nie wydaje się tak rewelacyjna. Tymczasem może się okazać, że nauka zna już podobne złodziejskie obyczaje wśród ptaków, a jednocześnie daremnie oczekuje na dane o ich występowaniu i liczebności.

X: Przecież, jak na razie, obserwujemy dla własnej przyjemności...

Y: Dlaczego? Naukowcy chętnie korzystają z pomocy amatorów. Chodzi im często o obserwacje bardzo proste – policzenie kaczek na Wiśle czy podanie, w których gospodarstwach żyje kuna kamionka. Zbadanie występowania zwierząt na określonym terenie wymaga mnóstwa ludzi, nauka nimi nie zawsze dysponuje, więc czemu nie mieliby tu pomóc coraz liczniejsi miłośnicy przyrody? Myślę, że źle jest dopiero wtedy, gdy studiowanie nazewnictwa staje się zabawą samą w sobie – bez zrozumienia, czemu to właściwie służy. Wielu młodych obserwatorów rwie się do prowadzenia badań tak zwanych ilościowych – ile jakich ptaszków żyje na danej łączce, bo o tym się naczytali w publikacjach, to jest strasznie naukowe... Skąd się jeszcze może brać to szufladkowanie. Z naszych przyzwyczajeń. Żyjemy wśród przedmiotów, kupujemy je, gromadzimy, zaczynają stanowić cel sam w sobie, niezależnie od wartości użytkowej. Więc i na przyrodę patrzymy jako na zbiór atrakcyjnych rzeczy. Nieważne, jakie prawa nią rządzą, ważne, że wczoraj „zaliczyliśmy" żubra, dziś szarotkę. W wielu krajach istnieją wielkie rzesze ornitologów amatorów, a dla wielu z nich najciekawsza zabawa to robienie „check list" – spisu zauważonych przez siebie gatunków. Jeżdżą po całym świecie, żeby do swej listy jeszcze coś dopisać. To już obłędne kolekcjonerstwo...

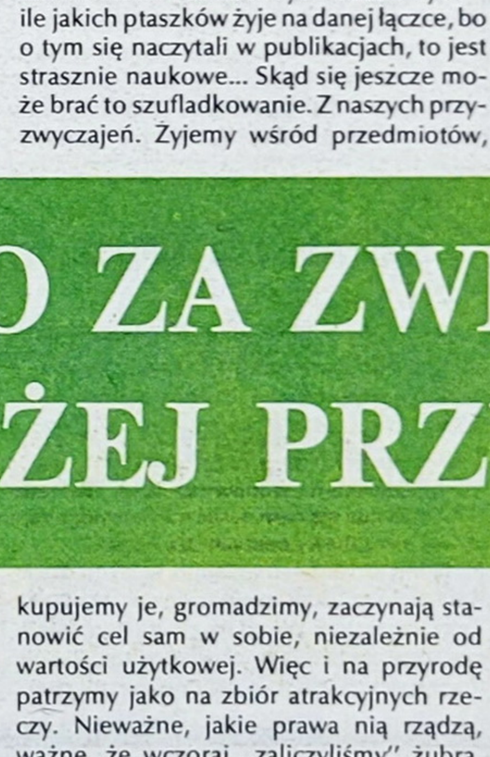

Z: Myślę, że takie spojrzenie jest wyniesione ze szkoły, gdzie ciągle za mało miejsca poświęca się uzależnieniom istniejącym w naturze. Uczymy się faktów, encyklopedycznych haseł, schematów o przebiegu ewolucji, układzie krwionośnym itd., o jednym zwierzątku, wiadomości sprawdza klasówka czy kolokwium, później następne zwierzątko. Tymczasem w każdym z nas istnieje coś, nawet na co dzień, co nazwałbym fantazją obserwacji, którą należy rozumieć jako wolność i samodzielność myślenia nie mająca nic wspólnego z fantazjowaniem. Posiadają ją szczególnie małe dzieci. One potrafią się wszystkiemu dziwić i dlatego są takie spostrzegawcze. Na to właśnie zwraca uwagę p. Goszczyński. Szkoła, wychowanie likwidują częściowo tę zdolność zdziwienia ucząc, że są pewne prawidła i poza nimi nie ma czego szukać. Człowiek, któremu uda się i do lat późniejszych zachować tę świeżość spojrzenia, który będzie miał głowę otwartą, ma szansę być stale dobrym obserwatorem nie tylko przyrody. Na widok motyla zapyta być może „co to za gatunek", ale na pewno zastanowi się dlaczego ciągle siada na tym brzydkim kwiatku, skoro obok rosną inne – ładniejsze. Zacznie odkrywać zależności. I o to chodzi!... Pozostaje jeszcze sprawa zmyślania. Podoba mi się tu postawa p. Goszczyńskiego – w ogóle jest to mądry list. Autor jest tolerancyjny i słusznie bierze pod uwagę, że zmyślanie może być nieświadome. Każdy ma do tego ukrytą skłonność, która może wynikać z braku wiedzy, stanu emocjonalnego, braku krytycyzmu – jest to sprawa fizjologii myślenia... Nie usprawiedliwiam natomiast blagierów!!! Zmyślają świadomie i temu jestem bardzo przeciwny!

Y: Dla mnie gorsze od kłamstw są niefrasobliwe doniesienia typu „Widziałem jelenia" – bez żadnych wyjaśnień. Mogą być równie dobrze wyssane z palca, jak i najprawdziwsze w świecie. A może to była sarna...

X: Obserwacja powinna być po prostu maksymalnie obiektywna i wiernie zanotowana, a obserwator krytyczny wobec siebie. A więc, jeżeli wydawało ci się, że widziałeś jelenia to pójdź w to miejsce jeszcze i dziesięć razy, aby mieć pewność, że to był jeleń, a nie fortepian przenoszony przez dwóch facetów.

Nie wierz własnym oczom – ale... obserwuj uważnie! Nie dowierzaj opowieściom o zwierzętach, rzadkich zjawiskach – ale pilnie ich słuchaj! Nie wierz bezkrytycznie książkom – lecz czytaj jak najwięcej!

Rozmawiali:
Zet – dr M. OSTROWSKI (Uniwersytet Warszawski). Iks, Igrek – J. DĄBROWSKI, T. KŁOSOWSKI („Świat Młodych")

Droga Kropeczko, prosimy Cię o wyjaśnienie: 1) Używamy formy „rodzynki", z tego wynika, że jest to rzeczownik rodzaju żeńskiego. Dlaczego więc w l.poj. jest ten rodzynek, a nie ta rodzynka? 2) Czy poprawne jest zdanie: „1.09 odbyła się inauguracja rozpoczęcia roku szkolnego"? 3) Jak brzmi celownik rzecz. własnego Aleksander Fredro: a) Aleksandrowi Fredro czy b) Aleksandrowi Fredrze?

Beata i Viola z Łowicza

1) Nie macie racji. Z tego, że mówimy **rodzynki**, wcale nie wynika, że jest ta rodzynka. Końcówkę -i w l.mn. mogą mieć zarówno rzeczowniki żeńskie, jak i męskie. Sprawdźcie same: dziewczynka – dziewczynki, pionek – pionki, sukienka – sukienki, przecinek – przecinki. Za poprawniejszą uważa się postać tego rzeczownika w rodz. męskim – **rodzynek,** ale **rodzynka** jest dopuszczalna. 2) Niepoprawne – typowe masło maślane. Przecież inauguracja to właśnie rozpoczęcie czegoś. I to rozpoczęcie uroczyste. Zdanie to powinno być napisane tak: .. odbyła się inauguracja roku szkolnego. Albo tak: ... odbyła się uroczystość rozpoczęcia roku szkolnego. Albo jeszcze tak: ..odbyło się uroczyste rozpoczęcie... 3) Aleksandrowi Fredrze.

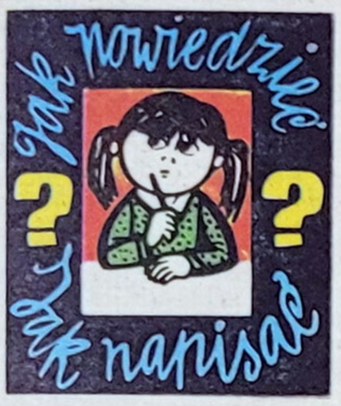

1) Socjolodzy czy socjologowie, psycholodzy czy psychologowie, trubadurzy czy trubadurowie? 2) Jadę do Strzelc Krajeńskich czy do Strzelec Krajeńskich? 3) Co oznacza cząstka „de" występująca np. w wyrazach: demoralizacja, degeneracja, deformacja itp.? 4) Wykopek czy wykopków, trampek czy trampków?

Fantomas z Drezdenka

1) Prawie wszystkie rzecz. oznaczające specjalistów z różnych dziedzin naukowych mają w l.mn. formy podwójne (biologowie – biolodzy, psychologowie – psycholodzy, pedagogowie – pedagodzy). I zwykli śmiertelnicy, i językoznawcy dają ostatnio pierwszeństwo końcówce **-owie**. Co się tyczy trubadurów, to jak nazwa zespołu „Trubadurzy" wskazuje, końcówka -owie jest tu mniej popularna. 2) Jadę do **Strzelec** (Krajeńskich, Opolskich). 3) Cząstka **de** – pochodzi z łaciny. Oznacza odwrotność, przeciwieństwo, pozbawienie, brak czegoś, o czym mówi drugi człon wyrazu złożonego. A więc np. deformacja – to pozbawienie poprzedniej formy, demoralizacja – to brak zasad moralnych, degeneracja – to utrata genów właściwych swemu typowi, swojej rasie. 4) Wykopków, trampek.

Wasza KROPKA

Autorką tego portretu jest Lidia Matyszczak.

Redaguje
Włodzimierz Lewiński

Cześć!

Urządźcie BAL „RETRO"! Taki bal z maskami, przebraniami, wyborem królowej balu, z konkursem na najlepszy i najbardziej pomysłowy kostium, z k o t y l i o n a m i i konkursem tańca.

Urządziliśmy właśnie taki bal w redakcji i bawiliśmy się wszyscy świetnie. W programie były nie tylko tańce. Były też ZABAWY NASZYCH DZIADKÓW.

Przed balem każdy z nas złożył wizytę babci, cioci, dziadkowi itp. Umiejętnie naprowadzaliśmy temat rozmów na „wspomnienia karnawałowe", pilnie notując wszystko w pamięci. Z zebranego w ten sposób m a t e r i a ł u (określenie dziennikarskie) ułożyliśmy program balu.

A oto kilka zabaw „retro":

1) Zabawa w KRÓLA LULA". Wybiera się króla Lula. Król odchodzi. Każdy wymyśla „plotkę na króla" (śmieszną, ale bez złośliwości). Może napisać na karteczce. Wszyscy powierzają „plotki" wybranej osobie. Wchodzi król. Następuje rozmowa z delegatem:

– *Dzień dobry królu Lulu!*

– *Dzień dobry dzieci! Gdzieście były i coście robiły?*

– *Chodziłyśmy po świecie, zbierałyśmy śmiecie...*

Jest to coś w rodzaju formułki z protokołu dyplomatycznego. Następnie delegat powtarza plotki królowi, a ten musi zgadnąć kto je wymyślił. Jak zgadnie – bierze fant. Potem wykupuje się fanty.

2) CIUCIUBABKA z wyliczanką. My przypomnieliśmy sobie taką wyliczankę:

ENE DUE RIKE FAKE
TORBA BORBA ÓSME SMAKE
EUS DEUS KOSMATEUS BAKS.

3) Zabawa w krzesła. Ustawia się krzesła w podwójny rząd, oparciami do siebie. Krzeseł jest o jedno mniej niż biorących udział w zabawie. Wszyscy tańczą, a gdy nagle przerywa się muzyka, szybko zajmują miejsca. Kto nie ma miejsca – odchodzi. Odstawia się jedno krzesło. Wreszcie pozostaje tylko jedno krzesło i dwoje tańczących. Kto zostanie na placu – przegrywa.

*

Kochani, zróbcie wywiad z Waszymi Rodzicami, Dziadkami, Ciociami i napiszcie do mnie. Otwieram sezonowy kącik pt. „Bal retro". Może uda się nam ocalić od zupełnego zapomnienia zabawy naszych Dziadków!

Do zobaczenia
Wasz RZEP

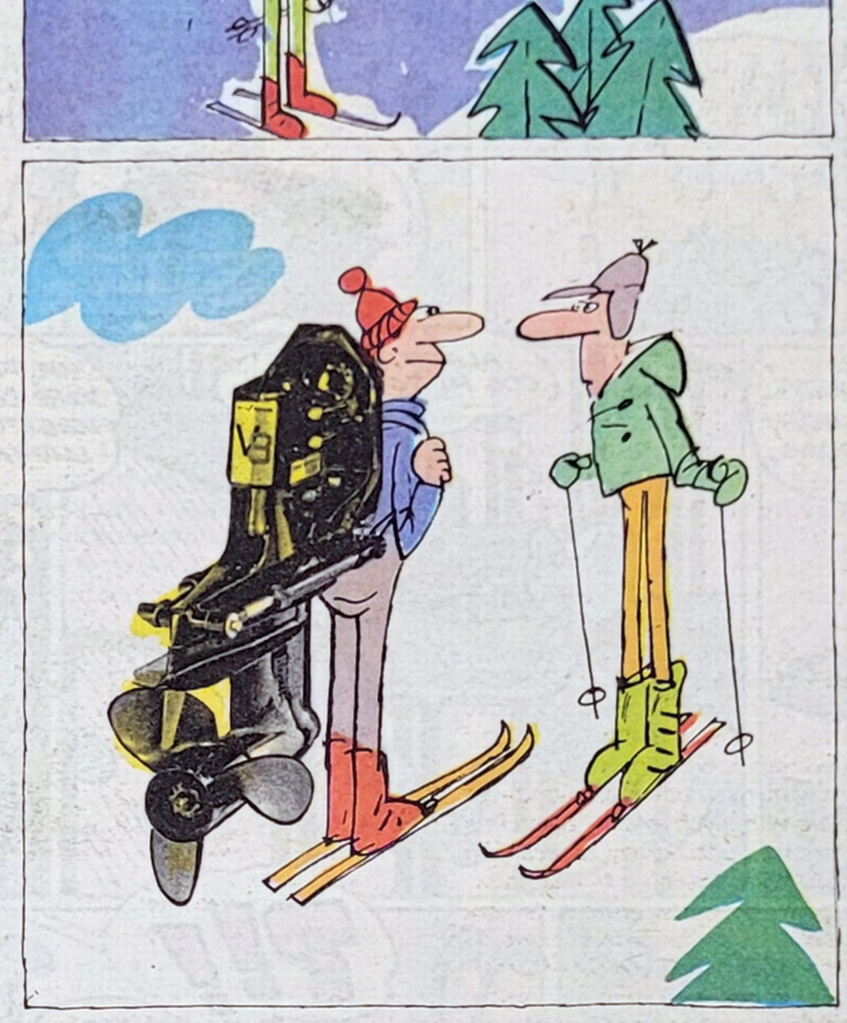

– Hej, wpadł pan?!
– Owszem... na chwilę!

Zima w pełni! Otrzymuję coraz więcej listów z serduszkiem „P–P" i od samego czytania tych listów robi mi się ciepło i przyjemnie! Oto nowi członkowie Rzepklubu – sekcji „Pomoc–Przyjaciołom":

Janek Kuder – karmi kuropatwy. Zbudował na pobliskiej łące karmnik. Ma także pod opieką psa i kota.

Jola Brzeskot i Gizela Majchrzak – karmią bezpańskie koty, pomagają przetrwać zimę ptakom.

Grzegorz Ambroziak – przyniósł do domu przejechanego przez samochód psa. Wezwany weterynarz stwierdził, że psa nie da się wyleczyć. Mimo to, Grzegorz nie zrezygnował z pomocy zwierzęciu. Wraz z mamą wykurowali psa. Było to dwa lata temu. Niedawno „Pimpuś" po raz drugi wpadł pod samochód. Tym razem nie można już było nic poradzić... Grzegorz pisze:

– *Mam teraz kota. Jest cały czarny tylko ma biały krawat. To najładniejszy kot w całej okolicy!...*

Grażyna Marek – znalazła rannego kota. Wzięła go do domu i wraz z siostrą wyleczyły skaleczoną łapkę. Udało się im także odnaleźć właścicielkę kota – mieszkającą niedaleko starszą panią.

Wacek Łakomy – należy do szkolnego koła Ligi Ochrony Przyrody. Przygarnął bezpańską kotkę. Zrobił cztery karmniki dla ptactwa.

Jarek K. – opiekuje się wróblami. Ma zamiar zrobić dla nich karmnik.

Jola Wiśniewska – przygarnęła zranioną kamieniem (przez łobuzów) wiewiórkę. Była w beznajdzjejnym stanie. Udało się jednak wyleczyć zwierzątko. Jola nazwała ją „Rzepinka"(!). Po wyleczeniu wypuściła „Rzepinkę" na wolność.

RZEPKLUB

Wpisuję dziś na listę klubu Ankę Hryncyszyn. Oto wyszperany przez nią żart rysunkowy.

znało się na pieniądzach. A ta młoda Indianka nie tylko posługiwała się sprawnie pistoletem, ale także bezbłędnie liczyła dolary i miała posłuch wytrawnych wojowników. Gayer zmiął w ustach przekleństwo, Bradley nerwowo pogwizdywał, Atkins pakował pozostały towar i nie wypitą whisky.

– Czemuż biali bracia nie spożywają ognistej wody? – spytała Niskuk. – Ona daje ciepło w zimowe noce. Po cóż ją chować do podróżnych worków?

Atkins podniósł na nią z wściekłości rozszerzone źrenice. Dziewczyna roześmiała się dźwięcznie, chwyciła za rękę Zorzę Ranną i obie pobiegły do tipi. Po chwili wyjrzała z namiotu i głośno rzuciła:

– Moi bracia rozstawią straże. Dzisiaj zwiększona czujność nie zaszkodzi. Malsumo[1] błąka się wokół.

– Niech Wodna Ptaszyna i Zorza Ranna śpią spokojnie – uspokoił Utsanati. – Potroimy straże.

– Dziewczyna dziwna – powiedział Willi Gayer. – Słuchacie jej jak wodza, a to przecież niedoświadczona squaw.

Mocny Rzemień położył dłoń na ramieniu kupca, rzekł:

– Niskuk jest m'teulin'em[2]. Należy do midewiwin'u[3] dlatego wszyscy ją szanują. Powiedziała ci, że sępy rozwłóczą twe wnętrzności i tak się stanie.

Wargi Gayera skrzywił ironiczny uśmiech.

– Bzdury – powiedział lekceważąco, ale w głosie jego drżały nuty lęku.

– Manitou otacza Wodną Ptaszynę swą łaską, a słowa jej zawsze głoszą prawdę, dlatego często zasiada w kręgu Rady Starszych.

Kupiec lekceważąco machnął ręką.

– Czas spać – powiedział.

– Słusznie. Możemy jako ostatni czuwać nad bezpieczeństwem obozu – zwrócił się Bradley do Utsanati.

– Albo pierwsi – dodał Atkins.

Indiane zamienili ze sobą porozumiewawcze spojrzenia. Utsanati pokręcił głową.

– Biali bracia niech śpią spokojnie, sami zabezpieczymy obóz.

Krzątali się jeszcze chwilę, dorzucili drewna w ognisko i w namiotach owinięci w skóry zapadli w sen. Jedynie wartownicy z bronią w ręku czuwali ogrzewając się ciepłem płomieni.

Ledwie niebo poczęło szarzeć, już byli na nogach. Pospiesznie zjedli śniadanie, zwinęli namioty i ruszyli. Szlak był wygodny, przetarty, dlatego podążali szybko. Biali kupcy z objuczonymi osłami wlekli się na końcu pochodu. Po południu dotarli do miejsca, gdzie droga lekkim łukiem skręcała na południe. Zatrzymali się. Utsanati rzekł do białych:

– Biali bracia pewnie pójdą dalej do Detroit, a my na wschód. Rozchodzą się nasze ścieżki.

– Yes, dążymy do fortu Detroit – odpowiedział Bradley.

– Ale zatrzymamy się tam krótko – dodał Gayer. – Wy pospieszycie pewnie do Malden. Prawda?

– Być może.

– Powiedzcie waszemu wielkiemu sachemowi, że Willi Gayer i jego towarzysze są przyjaciółmi Tecumseha.

Niskuk z powagą odrzekła:

– Powiemy, że biali bracia sprzedając nam towar z przyjaźni zachęcali wojowników do picia wody ognistej.

Rudy kupiec zaciął usta, z nienawiścią spojrzał na dziewczynę.

– Bywajcie – rzucił Atkins.

– Bywajcie – powtórzyli Indianie.

Biali ruszyli szlakiem, a czerwonoskórzy w bór. Pod wieczór zatrzymali się nad brzegiem Detroit River i odbyli krótką naradę. Gdyby mieli łodzie, mogliby popłynąć na drugi brzeg, skąd do Malden było już blisko. Łodzi nie mieli. Pozostawało więc zbudować czółna z kory brzóz lub obszerne dwie, trzy tratwy. Tak czy inaczej wymagało to sporo czasu. Postanowili rozbić obóz i rankiem zająć się budową canoe[4]. Liczyli, że w ciągu czterech dni uporają się z tą robotą. Z dala od brzegu, aby nie być widocznym, a samemu móc obserwować rzekę, rozbijali obóz wśród drzew.

Cdn.

1) Malsumo (ind.) – zły duch wcielony w zwierzęcą postać, który sprowadza nieszczęście na nocne obozowiska ludzkie.

2) M'teulin (ind.) – człowiek obdarzony nadprzyrodzoną mocą, szaman.

3) Midewiwin (ind.) – tajne międzyplemienne stowarzyszenie szamanów. Wśród plemion puszczy zdarzały się wypadki, że kobiety były szamanami, a nawet wodzami, np. Ramanascho pełniła godność achema Abenaków.

4) Canoe (ind.) – łódka zbudowana z kory brzozowej.

SAMI NIE WIEMY CO POSIADAMY

TEKST I RYSUNKI SZARLOTA PAWEL

ŚMIEJ SIĘ Z KOLEKS

ŚWIAT MŁODYCH

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa, ADRES ODDZIAŁU: ul. 3 Maja 7, 40-096 Katowice (tel. 599-230, telex 0315327).

UKAZUJE SIĘ WE WTORKI, CZWARTKI I SOBOTY

REDAGUJE KOLEGIUM Stanisław Borowiecki (zastępca red. nacz.), Jerzy Dąbrowski, Anna Grzybowiecka, Maria Jaworska (sekretarz redakcji), Ewa Kłosiewicz, Jerzy Kowalkowski, JERZY MAJKA (redaktor naczelny), Wiesława Mroczek-Kamińska, Kazimierz Pasek, Krzysztof Potrzebnicki, Ryszard Ratajczyk, Mieczysław Teodorczyk, Barbara Tylicka, Marzena Wierzcholska (zastępca red. nacz.)

TELEFONY:

Red. naczelny	21-15-61
Sekr. redakcji	28-25-48
Dział Łączności z Czytelnikami	28-56-18
TELEX	81-36-58

Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca

WYDAWCA – RSW „Prasa-Książka-Ruch" Młodzieżowa Agencja Wydawnicza 00-564 Warszawa, ul. Koszykowa 6 A Telefony: Dyrektor 28-09-73, Dział Wydawniczy 29-35-52. Prenumerata krajowa: miesięczna 19,50 zł, kwartalna 58,50 zł, półroczna 117 zł, roczna 234 zł. Od instytucji i szkół z miast wojewódzkich i gmin prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe oddziały i delegatury RSW „Prasa-Książka-Ruch" w terminie do 25 listopada na rok następny. Od instytucji, szkół, w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów i delegatur RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz od wszystkich prenumeratorów indywidualnych prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe urzędy pocztowo-telekomunikacyjne oraz listonosze w terminie do 10 dnia miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 50% droższa od prenumeraty krajowej, przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto PKO nr 1531-71 w terminach dla prenumeraty krajowej. Nr indeksu 35046

Opracowanie graficzne
Mieczysław Teodorczyk

Redakcja techniczna
Małgorzata Kula

Zam. 243/G S-25

DRUK: Zakłady Graficzne „Dom Słowa Polskiego", Warszawa

NIE ZAPOMNIJ OTO NASZ 00-561 POCZTOWY

Biali patrzyli z politowaniem i kpiną na dziewczynę. Indianie natomiast z powagą obserwowali każdy jej ruch. Po drugiej stronie ogniska, w słabym świetle majaczył na pniu sosny krótki kikut obłamanej gałęzi. Niskuk wyciągnęła rękę z pistoletem. Huknął strzał. Dziewczyna znowu kucnęła, oglądała dymiącą jeszcze lufę. Mocny Rzemień tymczasem wyminął ognisko, podbiegł do drzewa i badał okolice celu.

– Kula weszła w pień tuż pod sękiem – powiedział donośnie.

– Trafiła? – niedowierzanie brzmiało w głosie Gayera. Atkins sam poszedł pod sosnę. Wrócił. Ze zdumieniem patrzył na Indiankę. Powiedział:

– Sosna wprawdzie stoi niedaleko, ale mrok utrudnia celność. Zresztą pistolet i dziewczyna... Trafiła w pień dwa jardy poniżej sęku.

Wodna Ptaszyna popatrzyła w brodatą twarz kupca, uśmiechnęła się.

– Kto cię nauczył tej sztuki?

Dziewczyna oglądała drugi pistolet, nabiła go i nie odpowiadając na pytanie Gayera rzekła:

– Biali bracia wskażą nowy cel. Niskuk wypróbuje drugi pistolet.

Kupcy nie uśmiechali się już z drwiną. Byli ciekawi, czy i tym razem trafi. Gayer zlustrował oczami teren. Nie znalazł nic interesującego. Noc okrywała wszystko wokoło. Trzy ogniska płonęły rzędem. Pod nawisłą skarpą, z której w niebo strzelały ciemne korony wejmutek, stały obozowe namioty.

– Mam myśl – rzucił. – Jeżeli Niskuk teraz trafi, to rzeczywiście jest niezwykłą dziewczyną.

Ze stosu zgromadzonego na opał wybrał gałąź. Na skraju światła bijącego z ostatniego ogniska wbił w śnieg kij i umieścił na nim swoją futrzaną czapkę. Zwrócił się do dziewczyny:

– Staniesz z przeciwległej strony. Możesz strzelić trzy razy. Jeśli choć raz trafisz, to jesteś fenomenem puszczy.

Niskuk zajęła wyznaczone jej miejsce. Po lewej stronie miała ogniska. Przed nią na skraju światła i cienia majaczyła czapka

zawieszona na kiju. Odblask płomieni raził oczy. Podniosła pistolet. Ludzie stanęli po bokach. W skupieniu czekali na wynik strzeleckich popisów Indianki. Niskuk celowała chwilę i pocisnęła cyngiel. Ciszę nocy rozdarł strzał. Futrzana czapka nie drgnęła. Dziewczyna znowu wycelowała. Huk targnął powietrzem. Tym razem kij z czapką pochylił się lekko. Najbliżej stojący Indianin podbiegł, zdjął czapkę, starannie ją oglądał i podszedł ku Gayerowi.

– Kula przebiła denko – powiedział. – Niskuk trafiła drugim pociskiem.

Rudy kupiec obejrzał malutki otworek i nałożył czapkę na głowę, mruknął:

– To niebywałe.

Niskuk nabiła broń i zwróciła się do swej towarzyszki:

– Oto pistolet dla Zorzy Rannej.

– Nie umiem strzelać.

– Niskuk cię nauczy – rzekła i wzięła haftowany woreczek, wyjęła zeń zwinięte w rulonik banknoty. Zaszeleścił papier. Indianka odliczyła dziesięć papierków, uważnie oglądając je w blasku ogniska i podała Atkinsowi.

– Oto zapłata za wszystko – powiedziała. – Wybrany towar jest nasz.

Biali szybko przeliczyli pieniądze. Na ich twarzach malował się zawód. Otrzymali dziesięć dziesięciodolarowych banknotów. Ani krzty więcej. Złość ogarnęła ich na tę indiańską dziewczynę. Zwykle oszukiwali czerwonoskórych, bowiem niewielu z nich

Dokończenie na str. 7